MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 21. WARSZAWA, 26 KWIETNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

DWIE DYKTATURY

JEST rzeczą całkiem naturalną, że, wiążąc upadek monarchji w Hiszpanji z dyktaturą Primo de Rivery, opinja publiczna — nietylko w Polsce zresztą — zajmuje się istotą i wartością polityczną dyktatorskiej formy rządów, tak dziś w Europie rozpowszechnionych. Nic dziwnego też, że zwolennicy i przeciwnicy dyktatury szukają w Hiszpanji analogij, wskazań i argumentów dla swego sposobu widzenia.

A jednak z sądzeniem na podstawie analogji trzeba być bardzo ostrożnym, bo różne narody europejskie, mimo że tak blisko siedzą jedne od drugich, stanowią bardzo różne typy psychiczne, odmienną w wielu punktach historję i w odmiennych żyją warunkach. Każdemu rzucają się w oczy różnice, jakie istnieją między Hiszpanją a Rosją, nikomu też chyba nie może przyjść do głowy snucie podobieństw między dyktaturą Primo de Rivery, a dyktaturą Lenina, czy Stalina. Mniej już oczywistą jest różnica między Hiszpanją a Włochami, należącemi nietylko do cywilizacji zachodniej, lecz będącemi bezpośredniem dziedzictwem Rzymu starożytnego. A jednak są to różnice zasadnicze, które wyraziły się — między innemi — w odmiennych z gruntu dyktaturach w tych dwóch krajach.

Porównanie ostatniego ośmiolecia dziejów politycznych na dwóch półwyspach pozwoli nietylko na lepsze zrozumienie ostatnich wypadków hiszpańskich, lecz także na zdanie sobie sprawy z przyczyn, istoty i wartości rządów dyktatorskich w Europie współczesnej. Na obydwóch półwyspach — Apenińskim i Iberyjskim — była monarchja dziedziczna, rządząca przy pomocy parlamentu; prawie równocześnie, za wiedzą i zezwoleniem monarchów, przyszli do władzy Primo de Rivera i Mussolini. Tymczasem dyktator hiszpański musiał przed rokiem ustąpić, a rządy jego dały w wyniku upadek monarchji i respublikę; dyktator włoski zaś trwa i nic nie zapowiada, ażeby miał upaść. Twierdzimy, że nie jest to przypadek, że to, co się dzieje w Hiszpanji, w niczem nie przesądza przyszłych wypadków we Włoszech.

Bo natura sama dwóch dyktatur była zgoła różna. W Hiszpanji dało krajowi rząd dyktatorski wojsko, zadaniem zaś tego rządu było utrzymanie dawnego, nie odpowiadającego warunkom nowoczesnym, ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego. We Włoszech jest dyktatura organem prądu nowego, który dąży do przeprowadzenia w życiu politycznem, społecznem i gospodarczem kraju radykalnych, rewolucyjnych zmian, któreby wprowadziły Włochy w nowy okres historji starej Europy.

Każdy system polityczny czy ustrojowy posiada swe wady i braki, oraz przykre skutki dla ludności. Więcej, niż inne systemy, posiada wad tych i przykrych następstw dyktatura. To też, zewnętrznie rzeczy biorąc, widzi się wszędzie tam, gdzie są zawieszone gwarancje konstytucyjne, te same objawy — otwarte pole do tych samych nadużyć i okazję do podobnej korupcji. Jeśli wszelako sięgnąć do istoty rzeczy, to się przekonamy, że istnieją głębokie, niemal zasadnicze różnice między rządami dyktatorskiemi w różnych krajach. Wiemy, że Mussolini opiera się na silnej i zwartej organizacji faszystowskiej, Primo de Rivera zaś — mimo wysiłków — nie zdołał wytworzyć w swym kraju ani organizacji, którąby go popierała, ani też prądu politycznego czy społecznego.

I to znowu nie wynika ani z przypadku, ani z różnic indywidualnych między dwoma dyktato-

rami, lecz z momentu dziejowego, w jakim znalazły się dwa kraje. We Włoszech od kilku dziesiątków lat istniał prąd ideowy, zwany nacjonalizmem, który głosił nowe poglądy na świat, życie i społeczeństwo; prąd przeciwstawiający się zasadniczo ideologji wielkiej rewolucji francuskiej. Mussolini wziął władzę w ręce, by dać temu prądowi zwycięstwo w umysłach i sercach szerokich sfer społecznych; jest reprezentantem określonej ideologji, opiera się na szerokiem kole elity intelektualnej Włoch, ma po swej stronie znakomitą większość młodzieży. Mussolini jest — obrazowo mówiąc — narzędziem przeobrażenia życia włoskiego w duchu określonego programu i w zgodzie z nowoczesnemi warunkami, jakie zapanowały w Europie. Dlatego to wolno sądzić, że Mussolini przeminie, skończy się okres dyktatorski we Włoszech, lecz pozostaną głębokie przemiany w myśli narodu, w ustroju społecznym i w życiu gospodarczem. Można przypuszczać, że mimo błędów popełnionych przez dyktaturę i mimo organicznie z niej wynikających ujemnych objawów, pozostawi ona Włochy silniejsze i bardziej dostosowane do nowoczesnych warunków życia europejskiego.

Hiszpanja natomiast jest dziś w innem zgoła stadjum swego rozwoju; jest ona o sto lat zapóźniona w porównaniu z innemi krajami łacińskiemi. Już nie tylko nie było i niema w łonie narodu hiszpańskiego nowoczesnych prądów myśli, lecz inteligencja jego i młodzież żyją ideologją wielkiej rewolucji francuskiej, myślą i czują tak, jak myślano i czuto w innych krajach około roku 1848. Nie było tedy w Hiszpanji nowoczesnego prądu społecznego, na którym mógłby się był oprzeć Primo de Rivera; nie było też warunków dla wytworzenia takiego prądu. Jego „*Unione patriotica*" była to organizacja bez duszy i bez myśli, stworzona *od hoc* z ludzi, chcących sobie zasłużyć na uznanie administracji, z ludzi, działających pod wpływem strachu lub chęci zysku, a nie z pobudek ideowych. Primo de Rivera bronił starego porządku rzeczy, monarchji w stylu średniowiecznym, miał zaś przeciwko sobie elitę intelektualną i młodzież — wierzącą mocno i gorąco w mit republikański. Mógł tedy opóźnić zwycięstwo nowych prądów, nie mógł go udaremnić. Metody zaś, które zastosował, sprawiły, że wybuch nastąpił z tem większą siłą i z tem większym radykalizmem.

Jeśli przeto trzymać się w ramach, ustalonych na początku niniejszych uwag, a więc porównania między Włochami a Hiszpanją, to niepodobna—poza zewnętrznemi—ustalić podobieństw w położeniu i charakterze dyktatur w tych dwóch krajach. Jeśliby zaś chodziło o wyciąganie nauk ogólnych dla innych krajów Europy, to pozwolimy sobie przytoczyć tutaj zakończenie ciekawej książki hiszpańskiego polityka F. Cambo [1]), wydanej jeszcze za czasów rządów Primo de Rivery:

„Są trzy dyktatury z pośród tych, jakie mamy dziś w Europie, których istnienie jeszcze w ciągu kilku lat leży — jak się nam wydaje — w interesie powszechnym. Są to dyktatury w Rosji, w Turcji i we Włoszech, które wcielają trzy głębokie rewolucje, z których żadna nie doszła jeszcze do końca swego rozwoju...

Co się tyczy innych dyktatur, to nietylko interes krajów, w których istnieją, lecz także interes ogólnoeuropejski każe nam wyrazić życzenie, ażeby się szybko ukończyły, ażeby kontynent, który się szczyci tem, że ukuł prawo, mógł się doczekać tego, by organizacja polityczna wszystkich jego ludów oparła się na zasadzie prawa".

W toku swoich rozważań mówi p. Cambo także o dyktaturze polskiej — zalicza ją też trafnie i słusznie do rzędu tych, które powinny się skończyć jaknajprędzej.

STANISŁAW KOZICKI

---

[1]) F. Cambo: „*Les Dictatures*" Librairie Félix Alcan, 1930

FAŁSZYWI PROROCY

WIELU z amerykańskich miljarderów, spocząwszy na stare lata na laurach, odczuwało potrzebę pozostawienia potomności pouczeń na temat jak, należy żyć i postępować, żeby tak piękne, jak oni, osiągnąć rezultaty. Wszystkie te pouczenia sprowadzały się do normalnego w owe czasy podkreślenia decydującej przy zdobywaniu majątku pracy i oszczędności. O ile wiem, to jeden tylko z nich, mianowicie „król nafty" Rockefeller, złożył napastującemu go o wywiad reporterowi wyznanie wysoce niemoralne: powiedział mianowicie, że nigdy pracy nie lubił, że interesował go w życiu właściwie tylko golf, a majątek zrobił nie pracą i zapobiegliwością, lecz dzięki doskonałemu pomysłowi utworzenia trustu naftowego. To był jednak wyjątek, a taki np. „król stali", przebiegły Szkot Andrew Carnegie, podał w swych pamiętnikach, jako receptę na zrobienie majątku, zasadę, jaką się sam kierował: „nigdy nie kupiłem rzeczy niepotrzebnej, chociażby była nie wiem jak tania".

Przzpuszczam, że wielu czytelnikom recepta ta wydała się jednak zbyt prosta i łatwa. Nie jeden sobie pewno powiedział: „Mój Boże, nie musi to jednak być całkiem dostateczne, bo ja np. nie kupuję sobie rzeczy nawet koniecznych, nie tylko niepotrzebnych, a tu nie tylko miljonów ale i setek jak nie mam, tak nie mam"... Ale nie o to mi chodzi, nie chcę wykazywać hypokryzji królów giełdowych. Chcę natomiast stwierdzić, że poprzedzająca naszą generacja przywódców i proroków industrjalizmu, kierując się w życiu prywatnem moralnością giełdową, publicznie polecała jednak zdawna w społeczeństwie chrześcijańskiem mające

walor zasady pracowitości i małych wymagań. Stwierdzić to trzeba, bo oto dziś jesteśmy świadkami czegoś wręcz przeciwnego: te same sfery nawołują do rozrzutności i zabawy. Znakomity Ford, „król samochodów", był zdawna zdania, że robotnika trzeba dobrze płacić, żeby miał co wydawać, czyli, jak to się uczenie nazywa, żeby pojemność rynku była duża. Dziś to mu nie wystarcza i głosi zasadę krótkiego dnia pracy, żeby robotnik miał czas na używanie dóbr, kupionych z wysokich zarobków, bo inaczej tych dóbr kupować nie będzie. Rzecz jasna, człowiek nie mający czasu na spacery samochodem, samochodu nie kupi. Król samochodów rozumuje logicznie i dla siebie nie bez korzyści. W Anglji znów kierownik jednego z olbrzymich banków tamtejszych, obracających miljardami, b. minister skarbu Mc Kenna wygłosił mowę przeciwko oszczędności klas średnich, którą uważa za jedną z przyczyn dzisiejszego kryzysu. Przypomina to do złudzenia twierdzenia francuskich socjalistów z pierwszej połowy ubiegłego wieku, że „oszczędność to zbrodnia popełniana na robotniku". Tak oto przeciwieństwa (w opinji silne jest jeszcze złudzenie, że socjalizm jest przeciwieństwem kapitalizmu) spotykają się.

Powoływanie się na pojedyńcze głosy, chociażby tak wybitnych w świecie interesów ludzi, jak Ford lub Mc Kenna, nie jest zresztą potrzebne: cała potężna machina nowoczesnej reklamy niema nic innego na celu, jak namawianie ludzi do kupowania rzeczy przeważnie niepotrzebnych, do porzucenia oszczędności i korzystania z płatnej rozrywki. Industrjalizm dawno wypowiedział faktyczną wojnę oszczędności, poprzestawaniu na małem, teraz do tego dorabia teorję i swoje potrzeby podnosi do godności zasad moralnych, na których ludzkość ma być odtąd wychowywana. Sądzę, że można to traktować jako zakończenie pewnego okresu w rozwoju ludzkości, który rozpoczął się chyba z chwilą, kiedy Kościół przestał kłaść stanowczy nacisk na zakaz pożyczania pieniędzy na procent, a rozwój stosunków doprowadził do tego, że właśnie w instytucjach, obracających pieniądzem, (zwanych teraz często w przenośni „świątyniami") jak giełdy i banki, skupiają się obecnie coraz wyraźniej rządy nad społeczeństwami.

Wiele się obecnie pisze na temat kryzysu gospodarczego, toczą się spory, czy jest to kryzys okresowy, jakich już wiele było, czy też jest to zasadnicza ruina pewnego systemu gospodarczego. Przytacza się wiele statystyki, natomiast, mojem zdaniem, zbyt mało poświęca się uwagi pytaniu, czy system panujący obecnie w przodujących gospodarczo społeczeństwach ma nietylko materjalne, ale i moralne fundamenty w porządku. A pytanie takie jest obecnie, po jawnem zdeklarowaniu się tego systemu, najzupełniej na miejscu.

Moralność chrześcijańska głosi skromny tryb życia i poprzestawanie na małem, oczywiście nie w celu wychowywania kutw i dusigroszów, lecz w mądrem zrozumieniu tego niezaprzeczonego faktu, że tylko małe potrzeby materjalne dają na tej ziemi człowiekowi *maximum* wolności i niezależności wewnętrznej, stwarzają podstawę, na której może kwitnąć duchowy rozwój szerokich rzesz. Pogoń za zbytkiem natomiast nie tylko nigdy się nie kończy — w myśl mądrego przysłowia niemieckiego: „*viele haben zu viel, aber keiner genug*" — i celu nie osiąga, lecz jak to wszyscy w katechizmie się uczyliśmy, a zbyt wielu niestety dziś zapomina, jest dla ducha zgubna. Kapitalizm zaś nowoczesny, w ostatnich swych konsekwencjach, propaguje, jak widzimy, możliwie najobfitsze korzystanie z dóbr materjalnych, a opieka jego nad duchem wyraża się najlepiej w takiej organizacji pracy, że ideałem robotnika byłby—według tegoż Forda — „tresowany goryl".

Ta moralnie niszczycielska rola kapitalizmu mało jeszcze zwraca na siebie uwagę, tembardziej, że dotychczasowy rzekomy wróg jego, socjalizm, sam oparł się na podstawach materjalizmu i wobec tego nic nie ma do powiedzenia w tej sprawie. Natomiast kwestja ta musi wypłynąć i wzbudzić należyte przeciwdziałanie z chwilą, kiedy zaczną wyraźniej się ukazywać społeczne wyniki tego systemu.

Systematyczna propaganda „użycia" czyli „konsumcji", lekceważenie oszczędności uniemożliwi ostatecznie gospodarcze usamodzielnianie się „małego człowieka", utrudnione już i tak niezmiernie przez konkurencję, jaką stwarzają drobnemu warsztatowi wielkie, kapitalistyczne przedsiębiorstwa. Nastąpi nietylko dalsze wywłaszczenie mas na rzecz wielkich trustów, lecz również osłabienie pędu do samodzielności w tych masach. Instynkt samodzielności zaniknie i wyrobi się pożądanie raczej zależnej, a dobrze płatnej służby, niż własnego samodzielnego, lecz związanego z ryzykiem, warsztatu pracy. Masy będą przygotowane do przyjęcia nowego systemu niewolnictwa, w którem dopiero zarówno produkcja, i (obowiązkowa) konsumcja, zabawy i rozrywki, przyrost ludności i inne funkcje społeczne będą mogły być zorganizowane „racjonalnie", na podstawie statystyki, eugeniki, psychotechniki i t. p. pseudonauk. Oznaki tej zbliżającej się epoki widoczne są już w krajach, mających najstarszą kulturę kapitalistyczną, np. w Anglji, gdzie daje się zauważyć zanik instynktu samodzielności w masach, wychowanych w szkole wielkiego przemysłu. Kapitalizm rujnuje w duszy ludzkiej to, co zbudowały wieki kultury chrześcijańskiej.

I tu następuje, dla wielu nieoczekiwane, spotkanie systemu kapitalistycznego z bolszewickim. Niedawno obiegła prasę wiadomość o zamierzonej przez bolszewików pod kierunkiem Łunaczarskiego, reprezentującego u nich, jak wiadomo, wykwit kultury europejskiej, budowie „wzorowego" miasta p. n. „Magnietogorsk". Miasto owo położone będzie na Uralu, w pobliżu masywu górskiego, noszącego piękną nazwę „Gora Błagodat'", (góra Błogosławionego Daru) i usprawiedliwiającego swą nazwę, jest to bowiem bryła najlepszej rudy żelaznej, leżąca jak na talerzu na pożytek ludziom. W tej oto błogosławionej miejscowości ma powstać osiedle, urządzone według ostatnich wyników nauki komunistycznej. Wszyscy będą mieszkali w ogromnych gmachach, urządzonych jednakowo, wszyscy będą jadali we wspólnych kuchniach potrawy, przygotowywane według obrachunku kalorji, małżeństwa, a raczej współżycia, będą kontrolowane eugenicznie, dzieci po pewnej liczbie miesięcy odbierane rodzicom i hodowane racjonalnie w specjalnych zakładach, wszyscy będą obowiązkowo pracowali w wyznaczonym przez kierownictwo dziale, a ponieważ wszystkie potrzeby będą mieli zaspokojone u urzędu, więc płacy nie będą pobierali wcale.

Projekt nie wspomina, ile szubienic będzie trzeba w tym raju ziemskim z czasem wystawić, ale temu, ktoby chciał się pogardliwie uśmiechnąć z powodu tego wykwitu socjalistycznego barbarzyństwa, radzę uśmiech wstrzymać i zastanowić

się chwilę nad tem, co się robi lub pisze na zachodzie. Przejeżdżając koło miast zachodnich (zwłaszcza niemieckich) po wojnie łatwo zauważyć na peryferjach olbrzymie bloki nowych domów, zupełnie jednakowych, z setkami mieszkań podobnych do siebie jak dwie krople wody: nowoczesna „racjonalizacja“ wymaga tego szablonu. Jeżeli teraz przypomnimy sobie opis śniadania w fabrykach Forda, gdzie robotnicy, uszeregowani wzdłuż toru kolejki, nadstawiają kubki pod krany przejeżdżającej na szynach cysterny z kawą — to przyznać musimy, że djablo to tym Magnietogorskiem pachnie. Dodajmy jeszcze pisma znakomitego ekonomisty kapitalistycznego, J. M. Keynes'a, oświadczającego się za ustawowem regulowaniem w imię interesów gospodarczych przyrostu ludności, to analogja stanie się uderzająca również i w tej sferze.

Nic w tem dziwnego. Dwa kierunki, zgodne z sobą w podstawie głównej i zasadniczej, mianowicie w materjalistycznym poglądzie na świat, a różniące się tylko w szczegółach organizacji (tu państwo i biurokracja, tam trust i jego dyrekcja) musiały doprowadzić do jednakowego wyniku. Rezultatem jest niewolnictwo tu i tam, różniące się oczywiście tak, jak i w starożytności różniło się życie niewolników w domu magnackim od ich życia w domu niebogatym. Napewno niewolnik w domu Petroniusza był bardziej syty i lepiej odziany od niejednego wolnego obywatela Rzymu, mimo to jednak buntował się przeciwko swemu losowi, jak tylko sposobność się nadarzyła.

Otóż i system kapitalistyczny, zarówno jak i socjalistyczny, doszedłszy do ostatnich swych konsekwencyj, musi natrafić na bunt ludzi, nie chcących powrócić do niewolnictwa, nawet okraszonego dobrobytem materjalnym. I dlatego bez względu na to, czy statystyka wykaże chwilowe tylko zachwianie się systemu industrjalnego, czy nie, czeka go walka, w której musi być zwyciężony i obalony. W przeciwnym razie nastąpi kres cywilizacji europejskiej.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

Z MYŚLI JANA LUDWIKA POPŁAWSKIEGO

O KRYTYCE LITERACKIEJ I SATYRZE

POPŁAWSKI stwierdza lojalnie, że sam nie jest „patentowanym krytykiem“; że „dziwną i śmieszną wydaje mu się rola dziennikarskiego Arystarcha“ (III, 15); że pozostawia ocenę dzieł literackich „specjalistom artystycznym“, ale ponieważ od czasu do czasu musi dawać „z obowiązku“ (jak się wyraża) ocenę dzieł sztuki, więc „próbuje roli krytyka“ „dla swego zadania“ i „dla zwykłego śmiertelnika“, jak powiada, uśmiechając się pod wąsem,—bo kapitalne jest w swym subtelnym sarkazmie (pod adresem owej „urzędowej krytyki“) zestawienie jednym tchem owego „dla siebie“ i dla „zwykłego śmiertelnika“, mające „urzędowej krytyce“ wskazać, że Popławski nie ma zamiaru wdzierać się w jej granice bez jej zezwolenia.

Popławski przyznaje się, „że kiedyś marzył o poetyckich trjumfach“ (III, 15), ale nie chce z tego wyciągać uprawnień dla siebie do „krytyki artystycznej“, do której „ani chęci, ani kompetencji“ rzekomo nie ma. Wygląda to wszystko na to, że Popławski poprostu nie chciał, aby go można było zaliczać do t. zw. „heraldyków krytycznych“, do „specjalistów artystycznych“, których, jak i całą współczesną sobie krytykę literacką, oceniał bardzo surowo, ale ten sąd należy postawić na tle ogólnej opinji Popławskiego o inteligencji ówczesnej. Nie miał Popławski złudzeń nietylko o ile chodziło o szerokie jej warstwy, o czem mówiliśmy jest poprzednio, ale i o warstwy przodujące, z zawodu niejako zajmujące się „rozprawami“.

Sądzi Popławski poprostu, że brak odpowiedniego wykształcenia spowodował niezdolność dłuższego skupienia uwagi na jakimś podmiocie. „U nas“ — powiada — „powtarza się zbyt często, że rozprawy o prądach umysłowych lub społecznych— zamieniają się w spór o właściwości nadawanej im nazwy“ (III, 162).

Z tego zasadniczo pesymistycznego poglądu nie leczy Popławskiego obserwacja życia; jego przekonaniem jest, że brak nam „poważnej“, „sumiennej krytyki“. „Ci, którzy do miana krytyków mają prawo, — milczą“... — mówi o Chmielowskim i Sygietyńskim (III, 30), a pozostali nie znają się na swoim zawodzie, są leniwi i niesumienni, nawet „zdrowym rozsądkiem“ się nie odznaczają. Frazesy, któremi się szablonowo posługują, sprawiają wrażenie „żargonu“, ujawniającego wpływy żydowskie.

Trzeba bowiem podkreślić, że w trzydzieści lat po powstaniu, żydzi przeniknęli już głęboko w osłabione społeczeństwo polskie, kierujące się zawsze wobec nich tolerancją i słabością. To też wpływy żydowskie zaznaczyły się i w piśmiennictwie nader ujemnie, wprowadzając dążność do tandety, do najprędszego sprzedania najlichszego wyrobu literackiego. Dużo też inwektyw Popławskiego na karb tego pierwiastka rozkładowego zapisać należy.

Mówi więc Popławski o recenzentach, posługujących się owym „żargonem“, o „patentowanych krytykach“, mierzących dzieła sztuki „łokciem“; o „mniej lub więcej biegłych taksatorach“ dzieł literackich, ferujących „oceny“, zamiast dać rzetelną krytykę. Za skandal np. uważa Popławski, że o dziele takiej wartości, jak „Nad Niemnem“ Orzeszkowej — „sumiennej krytyki nikt nie napisał“. (III, 30) [1])

Rzecz jest zrozumiała jednak w świetle owych „żargonowych“ wpływów, nie kwapiących się do dzieł rdzennie polskich i tak nieurbanistycznych, jak „Nad Niemnem“. „Sortowanie talentów literackich“; nieumiejętność oszacowania „przedmiotu wielkiej wartości“; „naciągane porównania“, „wymuszone komplementy“, t.zw. „pochlebne wzmianki“ czy „treściwe uwagi“, wszystko na podkładzie „frazesu szablonowego“ (III, 30) — to jest owa nędza intelektualna, jakiej cierpieć nie może Popławski, a jaka pachnie ghettem, przenikającem już do piśmiennictwa coraz trjumfalniej.

Nietrudno jest ustalić niepożądane cechy tej krytyki, którą Popławski tak sarkastycznie traktuje.

Więc, najpierw, stosowanie do każdego nowego dzieła „przyjętego szablonu“ krytyki (III, 15), „leniwej, niesumiennej“—przyczem cechy szablonu

[1]) Słowa pisane w r. 1888.

można ustalić, jako: 1) „pobieżne przejrzenie“ dzieła; 2) stwierdzenie „oklepanym komunałem“, że treści opowiedzieć niepodobna. (III, 77); 3) „wydanie świadectwa“ czyli „śmieszne“ sklasyfikowanie pisarza, według stopnia „talentu” i „ogólnych cech“ (III, 79); 4) okazanie autorowi „życzliwości“ przez zrobienie z niego „ucznia“ jakiegoś już uznanego wielkiego pisarza (III, 16), to wszystko, w zakresie treści i 5) frazeologja, w zakresie formy.

Stosowanie podobnego szablonu w dużej mierze płynie z nieuctwa krytyków. „U nas w Warszawie“ — mówi na ten temat Popławski — „nowelkami nazywają się wszelkie krótkie utwory bez różnicy rodzaju”, a „każdy młody autor musi być uczniem Sienkiewicza, chociażby nawet powieści jego nie czytał”; „mniejsza, że Sienkiewicz ma talent opisowy”, a ktoś, jak np. Szymański, jest lirykiem, ale „zrobią go uczniem Sienkiewicza...” (III, 16)

Przekonanie o braku przygotowania krytyki, biorącej się do oceniania dzieł z dziedzin, obcych sobie zupełnie, przegląda i z uwagi, że „krytyka nie zwróciła na to uwagi, że zawsze prawie chłopi w powieściach Dygasińskiego, bez względu na różnicę charakterów, mówią jednakowo. W rzeczywistości zaś chłopskie sposoby wyrażania się bardzo są odmienne i daleko tu więcej różnic indywidualnych dostrzedz można, aniżeli w sferze ludzi inteligentnych...” (III, 115)

Krytycy „Lalki” Prusa — mówi kiedyindziej Popławski — dostrzegli w utworze tym „pewien brak spójności artystycznej i koordynacji wewnętrznej”, i to spostrzeżenie było dość uzasadnione, ale błędem już było doszukiwać się przyczyn tego w urywkowej robocie“ (III 76.), „w fejletonowym sposobie pisania powieści“ (III, 75).

Przyczyny bowiem istotnej „poszukiwać należy przedewszystkiem w naturze samego talentu i umysłu autora, poniekąd zaś w tem, że między początkiem i końcem powieści upłynął spory kawał czasu...“ więc też Prus musiał „spostrzeżenia swoje uzupełniać...“ (III, 76).

Można podobne wypadki wytłumaczyć tem, żo krytycy nie stoją wyżej od czytelników swoich; gdy się pojawi nowy utwór, krytycy są w kłopocie, dopóki się nie przekonają, jak go przyjmuje ich publiczność, i dobrze przyjmują tylko te utwory, które odpowiadają przyjętym powszechnie pojęciom (III, 17); to bowiem zgóry rozstrzyga zgodność sądów krytyka z opinją publiczności czytającej i gwarantuje życzliwe przyjęcie krytyki przez ogół, no, i, naturalnie, „sławę, marną warszawską sławę” (III, 79).

Możnaby powiedzieć, że taka sława rodzi się i rozkwita w środowisku, które Popławski z gryzącym sarkazmem określa, jako „otoczenie filistersko-literackie, sferę kurjerkową”. Prawdziwy twórca, — a myśli tu Popławski o Prusie — „drwi z tej sfery, kiedy jest w dobrym humorze; pogardza nią, ilekroć nastrojony bywa pesymistycznie...“ (III, 87)

Drugą cechą ujemną krytyki literackiej jest heraldyka krytyczna, „wyszukująca gorliwie w zakresie swych badań, kto kogo rodzi“; są „dociekania ciekawe“, „mniej lub więcej dostojnych protoplastów“, ale cała ta strona krytycznej działalności „nic nie obchodzi“ (III, 163) Popławskiego, który w rozgłośnym z przed kilku lat sporze opowiedziałby się niewątpliwie, przeciw „wpływologji“.

Trzecią cechą tej krytyki, zwalczanej przez Popławskiego, jest lekceważenie strony formalnej utworów, a przecie, oceniając dzieło sztuki, należy „na robotę zwrócić główną, jeżeli nie wyłączną uwagę”, ale my „nie mamy znawców, którzyby porządną robotę potrafili należycie ocenić, więc i z tego względu lekceważymy jej znaczenie”... (III, 139) konkluduje Popławski.

Czwartą wreszcie cechą jest nieuwzględnienie publicystycznej strony utworów, co szczególniej w warunkach społeczeństwa polskiego, dla którego „publicystyczna strona utworów ma wielką wagę” (III, 23) jest krzywdą, a tłumaczy się właśnie przenikaniem do piśmiennictwa polskiego owego „żargonowego” pierwiastka, nietylko obcego żywotnym interesom polskim, ale nawet szczególniej zainteresowanego tem, aby społeczeństwo polskie bardziej się obracało w sferze „czystej” sztuki i oderwanej od rzeczywistości myśli, nie zajęło się sprawami swego realnego życia, no, i przyjrzało się wtedy interesom swoich sublokatorów.

Szczególniej nieufnie odnosi się Popławski do wspomnianego wyżej „klasyfikowania” pisarzy, ponieważ jego studja wyjaśniły mu, że „krytyka, i nietylko nasza — niema jeszcze wyrobionych naukowych metod badania, ażeby mogła wykryć już teraz naturalne podstawy klasyfikacji kierunków i talentów literackich... Przyklejaniem kartek z napisami zajmują się głównie ci, którzy sądzą, że nomenklatura a klasyfikacja to jedno. Ostatecznie, możnaby zgodzić się na to oznaczenie, ale tylko autorów, którzy się już znaleźli w zbiorach t. j. przeszli wraz z dziełami swemi do historji literatury. Gatunki i odmiany literackie nie mają tej trwałości, którąby pozwalała im nadawać właściwe nazwy”... Możnaby „klasyfikować czy też oznaczać pewnemi nazwami” tylko naśladowców. „Wszelka inna klasyfikacja opierać się będzie tylko na cechach zewnętrznych i przypominać stare, naiwne klasyfikacje przyrodnicze...“ (III, 139).

„Dowolności wszelkich klasyfikacyj i nomenklatur krytycznych” dowodzi choćby „ocena porównawcza” takich dwóch talentów, jak Sygietyński i Dygasiński, których krytyka „warszawska” zaliczyła do jednej szkoły (naturalistycznej), mimo, że są „tak odmienni” (III, 141).

Zakres nowszej krytyki artystycznej obejmuje uwzględnienie „szerokiego tła społecznego“, „wspaniałego obrazu życia zbiorowego“, „całego szeregu postaci” i „ich spraw osobistych” (III, 77). Oceniać trzeba każdego autora „ze składu jego umysłu, z zalet i wad twórczości, z upodobań i skłonności, nawet ze sposobu pisania, języka i stylu ..” (III, 81)

Krytyk powinien „się liczyć z metodą artystyczną autora”. Można samej metody nie uznawać, ale trzeba ją poznać i uwzględnić przy ocenie. (III, 143)

Popławski sądzi nawet, że w interesie właściwego ocenienia pisarza — należy „opierać swe wnioski krytyczne i na wiadomościach o prywatnem życiu autora”, mimo, że to „u nas uchodzi za nieprzyzwoitość...” (III, 142).

Nie może być poważnej krytyki literackiej bez należytego przygotowania naukowego, bo przecie tylko „w poznaniu epoki szukać należy klucza dla zrozumienia wielu objawów stanu moralnego i życia społecznego” (III, 152).

„Sumiennego” krytyka cechuje nietylko dokładne poznanie dzieła, ale i „inteligentne i twórcze stanowisko wobec szczegółów” (III, 46); wejrzenie nie tylko w treść, ale i w budowę utworu.

Krytyk może osobiście przeżywać sytuacje i idee utworu żywo i gorąco, podobnie jak każdy zwykły czytelnik, ale z chwilą, gdy przystępuje do

ocenienia dzieła, musi zapomnieć o swoich sympatjach i antypatjach, nie może bowiem być związany z dziełem uczuciowo (III, 15); to bowiem jedynie gwarantuje pogłębienie poglądów, objektwność sądu, wszechstronność ujęcia.

Obowiązkiem krytyka jest brać autorów takimi, jakimi są, i nie stawiać im wymagań, z właściwościami talentu ich niezgodnych (III, 23); bowiem wówczas dopiero osiąga się sąd właściwy o dziele i autorze, a nie o twórczych zdolnościach krytyka.

Obok odtworzenia swoich osobistych myśli i odczuwań, każdy autor jest zarazem wyrazicielem stokroć rozleglejszych czynników swego społeczeństwa, narodu, kultury swoich czasów. Popławskiego, jako publicystę i polityka, obchodzi żywo ta właśnie nieosobista strona twórczości, i dlatego mówi on, że „krytykę nie wiele powinno to obchodzić, co autor chciał wyrazić w tym utworze; przedewszystkiem to nas obchodzi, co w tym utworze jest, co ja w nim widzę i co inni widzieć mogą"... (III, 29).

Dla krytyka ma mimo to duże znaczeuie właściwe ujęcie „osobistego charakteru utworu", „uchwycenie wybitnych znanion indywidualności samego twórcy" (III, 69). Trzeba jednak na to, aby krytyka miała „czucie z masą czytelników", a „rozbrat ten w sferze myśli i uczucia" powstaje i „wzymaga się w miarę tego, jak coraz bardziej w prasie szerzyć się zaczyna rutyna rzemieślnicza, bezmyślne naśladownictwo, fejletonowe błaznowanie o wszystkiem i o niczem"... (III, 32).

Popławski nie był zwolennikiem krytyki, występującej zawsze, jak nieubłagana Moira grecka, surowo i bez uśmiechu. Humor, iskrzący się dowcipem i trafnością obserwacji, jest równie jedną z cech dobrego krytyka. Sam Popławski daje w swych krytycznych pracach przykład takiego humoru pogodnego. Więc, kiedy np. ocenia powieść Dygasińskiego o panu Piszczalskim, który stał się, wbrew intencji autora, swego rodzaju *miles gloriosus* i mówi, że „widocznie sam Piszczalski opowiadał o tych wypadkach; Dygasiński zaś, zapominając o tem, że pan rotmistrz łże na potęgę, zachwycony obrazowością opowiadania, uwierzył wszystkiemu" (III, 123); albo gdy powiada (przy sposobności „Lalki" Prusa), że „widocznie krytycy uwierzyli blagierskim zapewnieniom doktora Szumana, który uważa sam siebie za wielkiego psychologa, a jest, jak się kilkakrotnie okazuje, dość lichym znawcą charakterów ludzkich"... (III, 78).

Kapitalny jest równie Popławski, kiedy robi uwagę, że „podoficer strzelców konnych, a później koniuszy w Kuczmirówce" (z powieści o Piszczalskim)... tak samo jak Dygasiński (autor) mylił się w ocenie „charakteru Piszczalskiego"... (III, 121).

Obowiązkiem krytyka jest równie „znawstwo roboty pisarskiej", „zasad techniki pisarskiej". Ta umiejętność jest „często lekceważona przez niesumienną czy nieumiejętną krytykę, a przecie" — mówi Popławski — „oceniając (np.) powieść, jako dzieło sztuki, należy na robotę zwrócić główną, jeżeli nie wyłączną uwagę"... (III, 139) i „badać, choćby z pominięciem względów grzeczności, w jaki sposób robota ta była wykonana"... (III, 45).

„Przyznam się" — mówi Popławski — „że nie jestem znawcą roboty pisarskiej, mogę jednak dostrzedz, czy jest niedbałą czy wykończoną, sumienną czy partacką, czy niema w niej grubych błędów, widocznych wykroczeń przeciw zasadom techniki"... (III, 139). Oczywiście, owe „dostrzeżenia" Popławskiego to najkonieczniejsze elementy, obowiązujące „znawcę roboty pisarskiej".

Nie przeocza Popławski, że i u nas są „zwolennicy swobodnego tworzenia", ale wnet bez skrupułów oświadcza, że oznacza to zwykle „niechlujną, niedbałą robotę", i że nawet owi „swobodni" twórcy, „przyparci do muru, uznają, że „robota" jest konieczną, a dodadzą zaraz, że nie powinna być widoczną"... (III, 138).

Na to cofnięcie się strategiczne odpowiada Popławski, że „krytyk nie może nie widzieć roboty, bo na nią przedewszystkiem patrzeć powinien, jej umiejętność i staranność oceniać. W krytyce zagranicznej wyrażenia „dobrze zrobione", „dobra" lub „starannie wykończona robota" są największą dla dzieła pochwałą, udzielaną przez znawców. My jednak — konkluduje Popławski z ironją — „mamy taką prawdziwie szlachecką, a poniekąd może żydowską pogardę dla wszelkiej roboty, że wstydzimy się przyznać do niej, nawet kiedy ją dobrze wykonamy"... (III, 139).

Stwierdzeniem „poważnej krytyki w prasie" jest gruntowna ocena każdego dzieła większej miary, natychmiast po ukazaniu się go w druku; przemawia w tym wypadku przez Popławskiego publicysta, dla którego każdy utór jest przejawem życia społecznego. Mieliśmy już wyżej przykład „niepoważnej" krytyki z powieścią „Nad Niemnem", a możemy jeszcze przytoczyć opinię Popławskiego o „Lalce". „Krytycy" — mówi Popławski — „pobieżnie czytali „Lalkę" i trywialnie ją sądzili, uważając, że fakt samobójstwa (Wokulskiego, naturalnie) jest koniecznym epilogiem utworu"... (III, 78) [2]).

Aczkolwiek sam publicysta wielkiej miary, — a może właśnie dlatego — nie współczuje Popławski rodzajowi krytyki, który nazwał „publicystyką literacką".

Daleka bowiem od wszechstronności i pogłębienia rzetelnej krytyki, publicystyka literacka szuka „w utworze tylko materjału faktycznego dla poruszenia pewnych zagadnień etycznych i społecznych", pomijając najistotniejsze dla krytyki działy: estetyczny i historyczny. Z krytyką w tym zakresie ma publicystyka literacka „to wspólnego chyba, że sprawdza także, czy artystyczne odtworzenie życia odpowiada prawdzie realnej. Ale szczególnem jej zadaniem jest przedewszystkiem właściwe oświetlenie i powiązanie syntetyczne danych, w żywych obrazach przez autora przedstawionych"... (III, 40).

Wspomina równie Popławski o innej dziedzinie, pokrewnej krytyce, o komentowaniu utworów mianowicie, ale wnosićby trzeba, że zalecałby on bardzo wielką ostrożność w tym zakresie, skoro się wyraża, że to, co warstwy wyższe widzą w utworach Szekspira np. jest „po większej części wymysłem wszelkiego rodzaju komentatorów" (III, 130).

[2]) „Zaznaczę tu jeden ciekawy szczegół" — mówi Popławski w swym szkicu o „Lalce" Prusa — „że bodaj wszyscy dotychczasowi (w r. 1890) krytycy i recenzenci „Lalki", którzy na przebieg romansu i prywatne dzieje „bohatera" główne zwracali uwagę, jednozgodnie uśmiercili Wokulskiego, chociaż autor... kilkakrotnie daje do zrozumienia, że Wokulski życia sobie nie odebrał... Gdybym do drobiazgu tego przywiązywał wagę, śmiało odwołałbym się do autora i pewny jestem, że nie skompromitowałby mej domyślności i nie zakrwawił serc zainteresowanych losem Wokulskiego czytelniczek, które teraz pocieszają się nadzieją: a nuż żyje? i snują na ten, zupełnie wystarczający dla wyobraźni temat, przepowiednie dalszych losów bohatera"... (III, 78).

Zjawiskiem, pokrewnem krytyce, jest satyra. „Satyra bowiem... jest właściwą formą artystyczną krytyki społecznej“... — mówi Popławski, dla którego „satyra społeczna“ jest „obrazem życia społecznego“, w szczególności zaś 1) „obejmuje całokształt objawów życia“, 2) „sięga w głąb ich treści“, 3) „uogólnia i uświadamia znaczenie istotne spostrzeganych zjawisk społecznych“ (III, 159), i w ten sposób: 4) „przyśpiesza proces uświadamiania się myśli zbiorowej“ (III, 155) albo, jak inaczej określa to samo, rzuca „zaczyn nowych dążeń... w poruszoną do najniższych głębin masę społeczną“... (III, 154).

Na tem polega „wielka doniosłość“ satyry, która dla tego właśnie charakteru powszechnej służby społecznej — „nie może się kierować formułami doktryny obozowej, stronniczej“... (III, 159). Ten charakter uniwersalny satyry powoduje też Popławskiego do dowcipnej uwagi, że „satyra nie może dostosować się do wymagań rozsądnej taktyki“... (III, 159).

Może w związku z tą uniwersalną służbą społeczną pozostaje uwaga Popławskiego, że „genjalni satyrycy rodzą się tylko w pewnych epokach, w epokach wielkich przełomów dziejowych, kiedy stare formy życia padają, rozkładają się, gniją, ale zawarta w nich treść przenika w głąb form nowych, paczy je nieraz i zaraża atmosferę społeczną. Proces fermentowania nowych prądów jest jednocześnie procesem gnicia form starych. W zamęcie tym powoli dopiero wytwarzają się nowe kierunki i nowe formy życia, przechodząc rozmaite metamorfozy, zanim wyklaruje się ostatecznie rezultat fermentacji społecznej“... (III, 154).

Takie epoki wywoływać muszą z jednej strony jaskrawe (bez stosowania się do wymagań „rozsądnej taktyki“) obrazy rozkładu społecznego, a z drugiej — wysunięcie haseł odradzających, ideałów. To prowadzi do wniosku, że i satyra ulega zasadzie celowości. Nie można jej uprawiać tylko negacyjnie, właśnie dla tych jej bardzo doniosłych wływów. Podkreśla to Popławski, mówiąc, że to samo przez się „rozumie się“, że „znaczenie satyry jest zależnem od tego, w imię czego, w imię jakich ideałów satyryk potępia dane objawy życia“ (III, 155), a wypowiadając tę samą myśl inaczej, mówi, że „siłę artystyczną i społeczną satyry“ stanowi „ścisła łączność z chwilą bieżącą i wrażliwość na wszystkie objawy życia“, ale te cechy zarazem „zamykają“ satyrę jednocześnie „w danych warunkach czasu i miejsca“, jak stwierdza przykład Szczedryna (III, 155).

Satyra jest przeznaczona w zasadze dla współczesności. Może przeżyć czasy, które ją zrodziły, o ile przechodzi w epopeję swoich czasów. Na to trzeba, aby autor był ściśle przedmiotowy i nie silił się na piętnowanie epoki opisywanej (III, 158); treści dla satyry dostarczy wówczas traktowana epicznie sama rzeczywistość.

Jedną z form satyry jest karykatura. Powstaje ona łatwo pod piórem tych pisarzy, którzy bardziej niż indywidualne postacie tworzą „typy“, a „im te uosobienia szerszy zakres zjawisk i osób obejmują, tembardziej stają się nieproporcjonalne, niemal potworne“... (III, 160); ale karykaturę trzeba odróżnić od trywialności, która jest tylko grubą satyrą (III, 155), wówczas gdy karykatura właściwa jest raczej groteską artystyczną.

Cechą dobrej karykatury jest to, że osoby, występujące w niej, mimo przejaskrawienia rysów zasadniczych, żyją „własnem życiem“ (III, 160).

Ponieważ karykatura odtwarza życie w sposób nienaturalny, przesadnie zniekształcający rysy indywidualne lub formy społeczne, karykatura nie zawsze i nie przez wszystkich purystów jest dopuszczana do świątyń sztuki. O szerokości poglądów Popławskiego, o jego prawdziwie bezstronnym, ściśle badawczym tylko stosunku do zjawisk — świadczy, że i karykaturę zalicza on do dziedziny sztuki, mówiąc, że jest ona „tak dobrze, jak inne rodzaje, tworem artystycznym“... (III, 160).

Istnieje naturalny związek satyry z pesymizmem; jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że epoka, kiedy „zerwane zostały lub rozluźniły się więzy starego układu społecznego; kiedy rozpasały, wyrwały się z pęt porządku tradycyjnego wszystkie złe i dobre namiętności natury ludzkiej, kiedy na wolny przestwór, na światło słońca wypełzły wszystkie ukryte instynkty” (III, 155), że taka epoka, najodpowiedniejsza dla powstawania satyry, wytwarza warunki idealne dla rozkwitu pesymizmu.

Wtedy bowiem dochodzą do głosu decydującego „trucizny życia współczesnego i zarazem bodźce, podniecające rzekomo jego intensywność”, jak „złość i nienawiść, chciwość i zazdrość, kłamstwo i obłuda”, słowem „wszystko, co krzywi i poniża, co zakaża i rozstraja, co znieprawia i upadla...” (III, 359), a więc, co z jednej strony nadaje się do najostrzejszej satyry, ale co z drugiej — (skoro satyra tylko oświetla zło, ale go nie usuwa) budzi skrajny pesymizm zarówno co do natury człowieka, jak i co do możności odrodzenia się istotnego, wewnętrznego.

Taką epoką w Polsce była współczesna Popławskiemu epoka końca XIX wieku i początku XX w. Szukając ratunku, a raczej lekarstwa na ten stan rzeczy, znajduje go Popławski (za Prusem) w czynnikach odwiecznych i prostych:

„Ziemia, prosty człowiek i Bóg — oto te trzy światełka“ — mówi — „które zaczynają błyszczeć w mrocznej otchłani pesymizmu, rosną, jaśnieją, sypią promienie i ożywiają twórczość ducha. Beznadziejny pesymizm twórczym być nie może, satyra musi mieć jakiś ideał, inaczej będzie tylko cyniczną drwiną ze wszystkiego dla własnej przyjemności. Te trzy wyrazy, tak zwyczajne, a tak wielkie, bo oznaczają ukochanie przyrody, ukochanie ludzkości i ukochanie idei, mówią nam, że wszystko może minąć, może zawieść, może zdradzić, ale zawsze zostanie: ziemia, prosty człowiek i Bóg”... (III, 95)

Ten wspaniały, prosty a natchniony dytyramb — godzien jest stać, jako drogowskaz dla zagmatwanego w sprzecznościach wewnętrznych i zbłąkanego na rozdrożach moralnych i umysłowych dzisiejszego świata, byleby tylko się zastrzec, że ów „prosty człowiek” to nie „*griaduszczyj cham*”, mający z czerwonej otchłani swej klasowo uświadomionej ciemnoty i pychy reformować świat, ale człowiek ubogi w duchu, cichy i czystego serca z Kazania na Górze, a przynajmniej jacyś bohaterowie Prusa — „ludzie prości, szczerzy,” i chociaż „ciemni, znieprawieni już nieco dotknięciem mieszczańskiej kultury, zachowywujący jednak w głębi duszy swoją chłopską, pierwotną moralność... ludzie żywi” (III, 94) i byle przyjąć i stwierdzić uroczyście, że Bóg to nie tylko idea, jak się wyraża, zgodnie ze swemi czasami, Popławski—ale Istota Najwyższa, obecna i współczująca, Stwórca, Sędzia i Ojciec, Źródło, Naprawa i Kierunek życia.

IGNACY KOZIELEWSKI

OZIMINA

W GRUDNIU roku 1926 z pomysłu i powzięcia Romana Dmowskiego powstał Obóz Wielkiej Polski. W wewnętrznych dziejach Polski po wojnie światowej zdarzenie to posiada doniosłość epokową, zatem — niedocenioną, lub zgoła przeoczoną. Wprawdzie młode pokolenie, a w szczególności młodzież naszych wszechnic, odrazu kadry Obozu sobą utworzyła i w dalszym ciągu z roku na rok całemi zastępami swemi go zasila, ale to właśnie jest Obóz, podmiot i jaźń jego. Z zewnątrz zaś, ze strony społeczeństwa albo niema oceny, lub jest niedostateczna i płytka. Tylko obóz międzynarodowy w Polsce — z żydami i socjalistami — dał temu zdarzeniu cenę dość wysoką w postaci zajadłej nienawiści i walki. Na swój sposób i w swoistym sobie pieniądzu dał cenę, lecz bez oceny, tu bowiem — w powodzi oszczerstw, kłamstw i wyzwisk — niema ani śladu myśli krytycznej.

Pierwsza połowa wieku dwudziestego stała się na całym świecie widownią znacznych przeobrażeń politycznych i wstrząsów społecznych. Przebudzenie się Azji z Japonją na czele, wojna światowa, upadek Rosji i Austrji, powstanie szeregu państw narodowych z Polską na czele, próba odrodzenia Italji, zachwianie się imperjum brytyjskiego, groza nowej wojny światowej ze strony Niemiec, groza rewolucji powszechnej ze strony żydów — oto główne wypadki pierwszego trzydziestolecia, których ciąg dalszy niejeden jeszcze dziesiątek lat obejmie. W ścisłym związku z niemi — po części w charakterze przyczyny, a po części — skutku — rozwija się światowy przewrót gospodarczy, który zasadniczo polega na powstawaniu przemysłu w krajach, zależnych dotychczas od wwozu, oraz na równoległem załamywaniu się przemysłu w krajach, zależnych od wywozu przetworów. Wszystko to razem wytwarza wiry ogromnej burzy dziejowej, której ogniskiem geograficznem jest Polska.

Jakkolwiek na niezwykłą zakrojone miarę, zjawiska te stanowią tylko zewnętrzny obraz przełomu, który ludy nawiedził. Głębiej, bo w samym wątku ustrojów społecznych, od półtora już wieku odbywają się przemiany i przewarstwienia, których wynikiem ostatecznym musi być stworzenie nowego typu społeczeństwa ludzkiego, a co za tem idzie— i gospodarstwa i państwa. Przewlekły i splątany przebieg tych przemian wykorzystali żydzi w ten sposób, że przy pomocy masonerji i socjalistów chcą z niego uczynić rewolucję nieustającą, aby z gorączki chwilowej i ozdrowieńczej zrobić chorobę chroniczną, na którejby stale pasorzytować mogli. W tem tkwi przyczyna złośliwego charakteru i fałszywego kierunku tych przemian, oraz wielkiego niebezpieczeństwa dla społeczeństw, narodów i ludzkości. I tu ze względu na swoje położenie geograficzne, na swój stan kulturalny, a wreszcie — na obecność czterech miljonów zwartego w miastach żydostwa — Polska ma do rozwiązania zadanie szczególnie trudne i groźne.

Taki stan spraw tego świata przypada, nadomiar, na okres rozpełzania się i zaniku moralnych podstaw cywilizacji, którą nazywamy europejską. Duch ludzki zaczyna się błąkać i na szczytach swoich i na nizinach. Wiele zdrowych założeń moralnych ginie z powodu związania ich z przesłankami fałszywemi, a inne — chore i w życiu niestosowane — osłaniane są obłudą pozorów. Wiedza prowadzi człowieka na rubieże nieogarnionej, zimnej pustyni, przez którą przejść trzeba a jej krańców nie widać. I niema stąd powrotu. Silni żyją tragicznie, ale dla tłumów otwierają się wrota cynizmu i zbrodni. Dzięki starożytnej swej filozofji Azja inaczej przeżywa ten dramat posępny a, być może, dojdzie do tych samych, co i ludy białe, wyników ostatecznych. Zanim to jednak nastąpi, wrogowie człowieczeństwa — żydzi ocenili ten stan, jako wyjątkową chwilę sposobną do szerzenia w tłumach rozkładu moralnego w tempie przyśpieszonem. Środkami sztucznemi, pod sztandarami fałszywych a ponętnych haseł postępu i rewolucji następuje rozkiełzanie tłumów z prawa, obyczaju i ducha. Poczem rewolucja rękami tak znieprawionych tłumów wyrzynać ma warstwy oświecone każdego narodu, a na ich miejsca zasiądzie Juda. Nie tyle zatem w zmierzchu obecnej cywilizacji moralnej tkwi niebezpieczeństwo, ile w stadach szakalów i hyjen, które sami hodujemy.

Zewsząd tedy widoczne są oznaki, że świat nowożytny wchodzi w swoją porę zimową. Niepodobna przewidzieć, jak długa i jak surowa będzie ta zima. Obowiązkiem przeto rozumu jest przygotowanie się na rzeczy najgorsze. Kto i kogo ma przygotować? Niema dwóch na to odpowiedzi. Każdy naród musi sam siebie przygotować, każdy sam ze siebie musi wydobyć odpowiedni zasób ducha i woli. Ocalenie i górna przyszłość człowieka zależy od samodzielności i rzutkości każdego narodu zosobna. Tą intuicją wiedziona weszła na drogę własnego wyzwolenia Italja pod wodzą Mussoliniego. Tą i tylko tą ideją silne są Niemcy. Każdy naród ma inne warunki życia, inny typ duchowy człowieka, odrębne zadania i własne możliwości, których nie zna i nie może znać obcy. Dlatego wszelkie związki o znamionach zależności — w rodzaju Ligi Narodów — są pułapką na narody naiwne, środkiem nasennym na ich czujność, wytrychem do ich samodzielności.

W jakim stanie sił obronnych i czynnych wchodzi Polska w tę zimę dziejową? Siły obronne leżą w rasie ludu polskiego — zdrowej i twórczej, w młodości narodu, w zasadniczej, zawsze więc możliwej do wydobycia najaw, równowadze jego sił duchowych, oraz w samowystarczalności bogactw ziemi ojczystej. Sprawa, natomiast, sił czynnych w obecnym okresie przełomowym przedstawia się gorzej. Lud wiejski — opoka nasza — to jeszcze materjał surowy, długiej wymagający uprawy. Tak zwana warstwa robotnicza — także materjał surowy, a w dużej mierze przez mafję międzynarodową opanowany. Lud miejski — na dorobku gospodarczym i kulturalnym, a przez potworny natłok żydostwa uciskany. Mieszczaństwo średnie i górne — tylko w zachodnich dzielnicach polskie, dzielne i rzeczy świadome, w środkowej zaś Polsce — nieliczne, słabe i w części zażydzone lub zżydzone, a w Polsce wschodniej — wręcz nieobecne. Tak zwane ziemiaństwo, czyli średnia i bogatsza warstwa rolnicza — dawna szlachta z wielu przyczyn straciła, jako stan, dawną swą siłę

twórczą a z nią — znaczenie społeczne. A wreszcie tak zwana „inteligencja“ (znowu z wyjątkiem dzielnicy zachodniej) — zżydziała, literacka, tchórzliwa, zwiotczała i starcza.

Przy takim układzie sił społecznych pierwsze po wojnie światowej dziesięciolecie wewnętrznej historji w Polsce nie mogło być inne, niż było. Na takiem tle garść stronnictwa narodowego musiała pozostać jedyną garścią rozsądku i uczciwości, jaką z narodu w zamęcie wykrzesać się dało. Na takiem tle na pierwszy plan życia publicznego musieli wystąpić żydzi, a razem z nimi— orgje szalbierzów politycznych i karjerowiczów. Ze wszystkich stron świata zleciały się na nowe państwo liczne ptaki niebieskie, które nagle w polskości swej się poczuły, a ze wschodu przybyła rzesza wygnańców, praktycznie z Polską niezrośnięta. Pierwszą, a z reguły i nadal wyłączną troską obu tych zalewów była karjera osobista. Tak oto w pierwszych latach niepodległości zarysowała się sprawa czynnych sił odzyskanego państwa, a w roku 1926 przybrała znamiona beznadziejności. Na wielką zimę nadchodzącą Polska była nieprzygotowana, owszem - ze wszelkich możliwości oporu ogołacana. Zdawało się, że niema z czego i niema na czem siać.

Aliści życie rozwija się nietylko wszerz, ławą, statycznie, lecz główną jego cechą jest rozwój dynamiczny, wzdłuż, z przeszłości w przyszłość. Była młodzież, o której w rachunkach zapomniano. Na krótką metę karjer, użycia i rozkładu, na szeroką ławę dnia dzisiejszego młodzież, jako tworzywo, żadnej nie posiada wartości. Ale rok rocznie przybywa jej i wprędce z młodzieży wyrasta młode pokolenie, nowe życie, przyszłość narodu, której żadna karjera nie cofnie i nie powstrzyma. A że ta młodzież w Polsce powojennej, wbrew agitacjom i hypnozom międzynarodówki, cudowną siłą rasy swej, intuicji, ducha zdrowego i wielu wartości wewnętrznych sama gromadnie stanęła w obozie narodowym, a pierwsze jej (co do czasu) zastępy rycerskie otrzymały chrzest bojowy w wojnie z bolszewikami, trzeba zatem było tylko mądrego i dalekiego w przyszłość spojrzenia, aby w młodzieży odkryć siłę realną, wielką i wciąż narastającą, siłę świadomą i zbawczą, niezwalczony niczem, prawem przyrody potężny siew nowego życia narodowego.

Zapewne niejedno takie w Polsce spojrzenie było, lecz tylko oczekujące, bierne, bezradne. Istniała przeto obawa, że ów siew bez gleby odpowiedniej, na wiatry zmienne ciskany, jak go z roku na rok przybywa, tak z roku na rok będzie się nieporządnie rozpraszał, tułał po chwastach i marnował. Stronnictwa narodowe, jako stronnictwa (w kilku odmianach swoich) wyłącznie polityczne, nie mogły w sobie pomieścić ani cząstki nowego życia bujnego. Trzeba było dla tego siewu przyrodzonego stworzyć pole, wielkie, na cały naród obliczone pole, w przyszłość biegnące, nie polityczne, ale społeczne i kulturalne. I śpichlerz postawić mocy odpowiedniej, obszaru, i na odpowiedniej wyżynie. A na to znów trzeba było, oprócz spojrzenia dalekiego, jeszcze silnej woli twórczej i moralnego autorytetu. Wszystkie te warunki na szczęście zbiegły się w Dmowskim i jemu to naród zawdzięcza powstanie Obozu, który rozstrzygnie sprawę bytu i wielkości narodu i państwa polskiego.

Idzie zatem, jak Bóg przykazał, składny i nieustanny siew oziminy w Polsce na ową zimę surową, która z przeciwnej strony też idzie. Głównym, jak ja to widzę, celem Obozu Wielkiej Polski jest stworzenie w narodzie idejowo zwartej warstwy oświeconej, ze wszystkich tak zwanych stanów społecznych i zawodów złożonej, tak nastawionej i wyszkolonej, żeby mogła na barki swoje wziąć obowiązek poprowadzenia i przekształcenia społeczeństwa dla jego szczęścia, wolności i wielkości, ażeby mogła dźwignąć odpowiedzialność za losy narodu, ażeby miała siłę skutecznego przeciwstawienia Polski wszelkim grożącym jej niebezpieczeństwom, ażeby umiała w mrokach nadchodzącej nocy dziejowej odnaleźć dla narodu gwiazdę przewodnią. Trud ludzkiej oziminy naszej będzie przeto zarazem Herkulesa trudem i pracą Prometeusza.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SIEW JESIENNY

Błogosławiona ziemia, którą pług uprawia,
I utrudzona pługiem dłoń błogosławiona!
Nie wzejdzie z deszczem bez nich ziarno z ziemi łona,
Ani się w biegu przemian bez nich duch odnawia.

Jesienną ma dziś orkę lemiesz nasz i brona,
Ostatni z nieba siewcę żegna śpiew żórawia,
Szkliwem się rola w bruzdach lodowem załzawia,
A w glebie śpi nadzieja... O, czujcie! Tam ona

Pod wichrami zimowych burz nie leży senna!
Tam o potęgę nowych zbóż w mogilnej ciszy
Bój się toczy śmiertelny! A że go nie słyszy
Gwar na życia powierzchni, praca rąk codzienna, —

Przyszłość nie żarna mielą, nie wykują młoty,
Ale ją z głębin kiełek wyczaruje złoty.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

Uwaga autora. Punktem wyjścia sonetu tego jest werset Zend-Avesty: „Błogosławiona ziemia uprawna i ręka, która ją uprawia“.

NA WIDOWNI

Oryginalny zegar. — Teatry i zakład w Studzieńcu. — Snuć miłość, czy nienawiść? — Organiczność i mechanika. — Rozmowa z rzemieślnikiem. — Nagrody m. Warszawy.

PONIEWAŻ życie publiczne obecnie bardzo się uprościło, „sanacja" bowiem wszystkie nici ma w swojem ręku, więc gdy chodzi o zorjentowanie się w troskach polskich, wystarczy zajrzeć do „Gazety Polskiej", która streszcza w sobie cały sens dziejących się rzeczy. Jest to duży dziennik, zadrukowany w połowie ogłoszeniami komorników, w połowie zaś poświęcony „radosnej twórczości". Dla fejletonisty jest to wielka dogodność: patrzy jak w zegar.

Od paru tygodni, jak widzę na tym zegarze, najważniejszą w Polsce sprawą jest teatralna. Warszawa ma z teatrami kłopot finansowy i przemyśliwa, jakby je wyodrębnić z całości gospodarstwa miejskiego jako przedsiębiorstwo na podstawach handlowych. Natomiast organ urzędowy, torpedując wogóle zarząd miasta, domaga się, aby zawierzyło teatry swemu współredaktorowi, p. Juljuszowi Kaden-Bandrowskiemu, będącemu jednocześnie radnym miejskim, robiąc go ich prezesem z odpowiednią pensją. P. Bandrowski lubi pasjami się poświęcać, był też legjonistą, co mu daje kwalifikację generalną na wszystkie posady. Że jest waleczny, o tem świadczy walka jego o tę posadę, ścieląca pokotem zbrodniarzy, którzy mu stają na drodze.

Wejrzawszy w tę „bolączkę" (tak się nazywa każda rzecz jeszcze nie zsanowana), odrazu człowiek się orjentuje w położeniu i w atmosferze moralnej. Z brania się do rzeczy rycerzy literackich „sanacji", widać, że w Polsce bolączką jest samorząd miejski, trącący anachronizmem. Tylko bowiem państwo jest twórcze. W tych dniach (nr. 105 z 18.IV) „Gazeta Polska" doniosła, że zakład poprawczy w Studzieńcu, będący dotąd instytucją prywatną, „stał się przedmiotem zainteresowania p. ministra Michałowskiego". P. minister Michałowski zbadał, że „Tow. walczy z trudnościami finansowemi i wskutek tego nie może podjąć szeregu inwestycyj", „najważniejszą jednak kwestją jest dobór fachowego personelu". Pracownicy w Studzieńcu mają „nędzne wynagrodzenie" i dlatego źle pracują. Na tle tych „niedomagań" (bolączka) „powstała koncepcja", jak donosi „Gazeta", upaństwowienia Studzieńca. „Administracja będzie należeć do Ministerstwa, pracownicy zostaną zaangażowani na etatach państwowych". „Wówczas dopiero" — kończy „Gaz. Pol." — „możliwe będzie skompletowanie personelu fachowego i nieprzypadkowego, jak dotychczas". Krążą pogłoski, że na czele Studzieńca stanąłby w takim razie płk. Kostek-Biernacki. Teatry obejmie, sądząc z nacisków sfer miarodajnych, p. Kaden-Bandrowski.

Ktoby dawniej pomyślał, że życie jest takie proste, że wszystkie bolączki tak łatwo uleczyć posadami i wogóle pieniędzmi. Prawda, dawniej nie było państwa i nikomu się nie śniło, że będzie taka łatwość rozporządzania pieniędzmi. Był tylko naród pokutujący i na dorobku. Wyobrażaliśmy sobie, że życie jest organiczne i że dobywać je trzeba z siebie pracą i ofiarą, że wypełniać je trzeba tkaniną przeduchowioną, snutą na tysiące postawów, jak jedwab, z serc obywateli.

Snuć miłość, jak jedwabnik nić z piersi swych snuje...

Pokazuje się, że to system przestarzały. Snuć trzeba tylko nienawiść, tkactwo zaś teraz jest mechaniczne. W czasach wielkiego przemysłu dość postawić przy maszynie jednego człowieka w uniformie, a każdy okaże się genjuszem. Wymyślono podobno nawet człowieka mechanicznego. Słyszałem niedawno, jak dziewczynka, oglądając ilustrację, wołała: „Mamusiu, patrz: mężczyzna mechaniczny"! Niech tylko obywatel dostarczy odpowiednią ilość pieniędzy, to o resztę może go głowa nie boleć.

Że organizm, wyzuty z dynamiki twórczej, marnieje, że całość w końcu w próchno się obróci, to detal: na „nasze" życie starczy. Organizm narodowy jest przytem ideą niebezpieczną, przeszkadza bowiem wcielaniu w życie idej nadnarodowych, których zadaniem jest eksperymentować nad światem. Zdawało się międzynarodówce, że zasada demokracji zabezpieczy ludzkość od idei narodowej, bo obca jest pierwiastkom organicznym narodu. A jednak rodzą się „demokracje narodowe" (endecje). Dlatego niezbędne są od czasu do czasu dyktatury, aby przy ich pomocy przekładać życie na państwo i przez ten czas oczyścić społeczeństwo z organicznych pierwiastków narodowych. Organiczność zwalczyć można tylko mechanicznością; ustrojowi organicznemu przeciwstawić należy mechaniczny, zgóry kierowany. Jeden człowiek starczy.

Od czasu Rewolucji francuskiej trwały eksperymenty, aż dopiero w 20-em stuleciu udało się zachwiać cywilizację europejską. Wielce się zasłużył kapitał przez zmechanizowanie życia. Ileż to zabiegów myśli i propagandy kosztowało, żeby pękły wiązania idealistyczne! Powiadają, że świat się wali, grzebiąc cywilizację europejską. Być może, ale Europa jeszcze z tego nie zdaje sobie sprawy, a mechanikom włosy nie stają na głowie, bo oni nie są z Europy.

Poza doniosłemi sprawami, które zegar wskazuje, są też drobne. O takich zwykłem rozmawiać z ludźmi prostymi. Do nich należy mój krawiec, p. Marcin, u którego jednak nie byłem już parę lat z powodów „od redakcji niezależnych". Zaczęła się rozmowa od dziury na łokciu, a stąd prostą drogą zeszło się na teren zagadnień światowych i przeciwności życia wogóle. P. Marcin, człowiek roztropny i zawsze pogodny, nożycami, które nawet w starym dziennikarzu muszą budzić podziw, kroił korty spokojnie, dopóki się mówiło o królu Alfonsie; ale w pewnym momencie wyjął z szuflady wezwanie z urzędu skarbowego i użalał się, że właśnie podniesiono mu wymiar wdwójnasób w roku, kiedy w dwójnasób zmniejszyły się dochody. Reklamowałem — powiada — za rok mam dostać odpowiedź i zapewne będzie pomyślna, ale na razie bardzo ciężko. Wiele złego narobiono zapowiedziami, że wszystko stanieje. Już w grudniu (a to miesiąc najlepszy) zamówienia się urwały, bo wszyscy czekają stanienia. I teraz czekają. Wielki z tego powodu był kłopot z robotnikami, bo ich zaskoczył głód. Molestowało się tedy klijentów, żeby nie czekali i za byle co się robiło.

— Bardzo ciężko jest patrzeć — mówił p. Marcin — jak rzemieślnika licytują. Temu tutaj wynieśli graty, jakie miał: otomankę, zegar, jakąś szafkę. Dla niego to była wartość i radość, że to ma, ale to nic nie warte, zanim dojedzie do sali licytacyjnej, rozleci się. Pytałem się, dlaczego tak podnoszą wymiar. Jakże nie podnosić — odpowie-

dziano — kiedy tylu już nie płaci, a rejon musi dostarczyć tę samą ilość pieniędzy, co w roku ubiegłym. Rozkłada się przeto na tych, co jeszcze pracują. Rozumie pan — mówił krawiec — że zobaczyłem przed sobą przepaść.

Wywiązała się z tego powodu gawęda o tem, że państwo jest kosztowną instytucją, a społeczeństwo było dotąd ubogie. Stąd trudności.

— A wie pan — przerwał mi p. Marcin — Kiedy powstała Polska, ja byłem pierwszy w urzędzie ze swoim podatkiem. Co to za radość nieść podatek swojemu państwu!

— Snuć miłość, jak jedwabnik...

Patrząc w dobre oczy tego mazura, uprzytomniłem sobie wszystko, co kiedykolwiek o Warszawie się marzyło, żeby z niej zrobić miasto organicznie związane z Mazowszem, miasto silne zamożnem i pracowitem mieszczaństwem.

A p. Marcin klarował mi zasady swoje, jak to naród baczyć musi, aby wszelka grobla sypana była według stawu, bo co mi, powiada z pięknych wiaduktów, gdy staw się zabajurzy lub zgoła wyschnie?

Myśl obywatela pracuje coraz pośpieszniej, przyczem nie brak zdenerwowania z powodu komplikujących się zagadnień w polityce zagranicznej. Ponieważ zegar oficjalny tętna tego nie uwzględnia, więc myśl pospolita wydzwania cicho własne godziny. Według jej wskazówek się stało, że komitety warszawskie, uchwalające doroczną nagrodę miasta Warszawy dla zasłużonych przedstawicieli nauki, literatury i sztuki, odznaczyły w tym roku: Oswalda Balzera, Zdzisława Dębickiego i Stanisława Niewiadomskiego.

Gdy to piszę, jestem pod wrażeniem ostatniej książki Dębickiego, zawierającej wspomnienia z lat jego uniwersyteckich we Lwowie (1895 — 1899). Z uniesieniem wspomina tam o swym profesorze (dziejów prawa polskiego) Oswaldzie Balzerze. Dębicki z tytułu swych studjów może być uważany za lwowianina; Balzer i Niewiadomski za lwowian się uważają. Są to ludzie z tego Lwowa, który mechanicy międzynarodowi radziby wyrwać nam, jak ząb trzonowy, aby sobie przez „Ukrainę" utorować drogę (i to przy czynnej pomocy Polski) do nafty kaukaskiej...

Przypadkowy zbieg okoliczności owych trzech nagród daje nam wiele do myślenia. Jeżeli cywilizacja polska jest dziełem twórczości organicznej narodu, to Lwów jest jednym z ważniejszych jego organów. Wszyscy trzej nagrodzeni twórcy—to nie mechanicy i kombinatorzy, to żywa pierś narodu, z której oni, jak jedwabnicy, snują miłość. Każdy z nich, to fachowy „jedwabnik" idej cywilizacyjnych, któremi zasnuwa się wnętrze świata polskiego. Od żywiołu pieśni ludowej, którą nas wiąże z ziemią Niewiadomski, poprzez słowo Dębickiego, krzewiące kulturę duchową — do Balzera, badającego kodeks myśli prawno-państwowej narodu w rozwoju historycznym—wszystko to przędza organiczna genjuszu narodowego i miłości. Miasto Warszawa, nagradzając tych autorów, wyraziło hołd pracy, łożonej z miłością w cywilizację narodową. Każda rzecz mechaniczna i materjalna ulec może kryzysom i przeminie, wieczne jest źródło życia w piersi narodu:

„Stąd będzie naprzód moc twa, jak moc przyrodzenia".

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

JAK TO BYŁO W HISZPANJI LAT TEMU SZEŚĆDZIESIĄT?

Wobec hosanny pism żydowskiego autoramentu, które podnoszą, że runęła monarchja, która tyle a tyle to wieków trwała na kontynencie europejskim, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że blisko lat temu sześćdziesiąt (dokładnie w latach 1873 — 4) wydarzył się długowiecznej tej monarchji całkiem analogiczny wypadek.

Weźmy do ręki pierwszy lepszy podręcznik historji stulecia ubiegłego, możliwie nie podejrzany o sympatje monarchistyczne i katolickie, zatem np. *„Histoire politique de l'Europe contemporaine"* Karola Seignobos (Paryż, 1914), a oto co tam wyczytamy:

„Amadeusz (sabaudzki, powołany na tron hiszpański w końcu roku 1870, po wypędzeniu babki Alfonsa XIII, Izabelli) miał wkońcu dosyć swojego demokratycznego królestwa..., abdykował (więc) i opuścił Hiszpanję, a Kortezy (12-go lutego 1873) proklamowały republikę (250-ma głosami przeciw 32-om) i wybrały ministerjum.

Ale (wnet) podzielili się republikanie. Radykali (wśród nich)... pragnęli zachować system centralizacyjny... Dawni republikanie... domagali się republiki federalnej i wyborów Konstytuanty... Radykali opierali się na Kortezach, federaliści na rządzie... Konflikt (ten) zakończył się zamachem stanu. Kortezy, odraczając się w marcu, pozostawiły komisję nieustającą, złożoną z większości radykałów i alfonsistów. Komisji tej zaproponowali generałowie, że ją uwolnią od ministerjum federalistycznego; zapobiegło temu ministerstwo, wydalając komisję i przeprowadzając wybory do Konstytuanty.

Wybory te były federalistyczne i wyłoniły ministerstwo federalistyczne, które przedłożyło konstytucję federatywną, naśladowaną ze Stanów Zjednoczonych: Hiszpanja (miała być według niej) podzielona na stany samodzielne, Kościół oddzielony od Państwa. Ale federaliści godzili się tylko na zasadę, a różnili co do rozmiarów mających być nadanemi terytorjum poszczególnych stanów. Czy stan (taki) miał odpowiadać każdej z dawnych prowincyj historycznych czy (też) .. mniejszemu podziałowi... kantonowi?... Prezydent zrazu wybrany, Pi y Margall, tłumacz i dyscypuł (komunisty) Proudhona, skłaniał się do autonomji kantonów. Skorzystali z tego „kantonaliści", by wznieść sztandar buntu w Sewilli, Maladze, Kadyksie...; zwali się oni „nieprzednanymi", opowiadali się jako socjaliści i stronnicy Międzynarodówki. W Alcoy zamordowali powstańcy kilku fabrykantów i podpalili fabryki naftą. Zdobyli port wojenny w Kartagenie i, z udziałem uwolnionych więźniów bronili się w nim do stycznia 1874 r.

Kortezy, znajdując, że Pi (idzie zadaleko), oddały władzę (zrazu) Salmoronowi, profesorowi w Madrycie... (później zaś) szefowi stronnictwa republikańskiego umiarkowanego, wymownemu Castelarowi,. (Tenże), wyrzekając się prowizorycznie federalizmu i rządów liberalnych, powrócił do procederu tradycyjnego w Hiszpanji, do dyktatury militarnej scentralizowanej. Zawiesił dekretem gwarancje konstytucyjne, zabronił wszystkim Hiszpanom przenoszenia się z miejsca na miejsce bez upoważnienia, nałożył kaganiec prasowy... i t. p.

Kiedy Kortezy zebrały się napowrót, prosił je Castelar o *votum* zaufania, ale napróżno. (Wówczas) generał Pavia, gubernator Madrytu..., zaproponował Castelarowi oswobodzenie go od Kortezów. Castelar odmówił i ustąpił (2-go stycznia 1874). (Wówczas) Pavia zrobił zamach stanu na własną rękę..., wkroczył do sali obrad z wojskiem i wypędził posłów (3 stycznia). Później zaś oddał władzę komitetowi, złożonemu z postępowców i radykałów... (ale) opanowanemu przez generałów. (Tak) armja stawała się napowrót panią rządu...; rząd (ponownie) zawiesił gwarancje, zamknął organy prasowe karlistowskie i kantonalistowskie, rozwiązał wszelkie stowarzyszenia polityczne, konspirujące (jego zdaniem) „czynem lub słowem przeciwko bezpieczeństwu publicznemu i całości państwa". Marszałek Serrano został mianowany prezydentem władzy wykonawczej...

(Ale ta) dyktatura... nie zadowalała ani republikanów ani monarchistów. Generałowie nie chcieli już republiki i opowiedzieli się przy partji alfonsystowskiej. (Sam) Alfons, dochodząc do pełnoletności (28-go listopada 1874), wypowie-

dział się za monarchją konstytucyjną: „Nigdy nie przestanę (—pisał—) być dobrym Hiszpanem, dobrym katolikiem, jak wszyscy moi poprzednicy i, jak człowiek mojego wieku, prawdziwym liberałem".

Z tą chwilą restauracja jego była rzeczą oczekiwaną. Dokonał jej Martinez Campos „*pronunciamentem*" z Murviedro (29 grudnia 1874)... Alfons XII uznany został królem Hiszpanji".

Tak się dostał na tron, przed blisko sześćdziesięciu laty, z powrotem przedstawiciel dynastji burbońskiej, ojciec zdetronizowanego Alfonsa XIII. Republika trwała niespełna dwa lata i okazała się w Hiszpanji nieżywotną.

Jak będzie teraz? Przeciwnicy monarchji odpowiedzą, że dużo zmieniło się od lat sześćdziesięciu w Europie, że padły tymczasem mocne podpory monarchizmu na wschodzie, że wreszcie sam Alfons XIII zgrzeszył wprowadzeniem dyktatury w punkcie, w którym doczekał się właśnie korony ojciec jego, „liberał", „syn swojego wieku".

My odpowiemy na to: nie zmieniła się psychika narodu hiszpańskiego, psychika, która zdała swój egzamin w zamieszkach lat siedemdziesiątych, psychika południowców, których rozluźnienie więzi państwowej prowadzi nieuniknienie do meksykańskiego kryptobolszewizmu, podczas gdy monarchja Burbonów lotności temperamentu narodowego dawała, bądź co bądź, jako oparcie, trwałe szkarpy tradycjonalnego ustroju.

K. M. M.

NAUKA I LITERATURA

ZDARTA ZASŁONA

O ROSJI sowieckiej pisano dużo, pisali jej zwolennicy i przeciwnicy, pisał każdy niemal, który jakiś czas przebywał w tym kraju „urzeczywistnionych" marzeń socjalistycznych. Relacje były albo w czambuł entuzjastyczne, lub fragmentami strasznej rzeczywistości, lub najczęściej nie dawały żadnego skrystalizowanego pojęcia o tem, co się w Rosji współczesnej dzieje. Olbrzymi eksperyment wykonany na 150 miljonowym narodzie musi budzić zainteresowanie całego cywilizowanego świata. Dla nas szczególnie nie może być rzeczą obojętną, jak w praktyce wyglądają te „jaknajszerzej pojęte" i stosowane hasła „wolności—równości — braterstwa". Zobojętnienie Europy na rozwój eksperymentu bolszewickiego ustąpiło — gdy miesięcznik francuski „*Nouvelle Revue Française*" ogłosił ogólnie dziś już znaną „sprawę Rusakowa". Autorem tych tragicznych kart był mało jeszcze znany pisarz o ideologji wybitnie bolszewickiej Panaït Istrati. Cóż tak strasznego odsłoniła sprawa Rusakowa? Oto przedewszystkiem stwierdziła, że w Rosji sowieckiej, „kraju wolności i równości" sprawiedliwość jest mrzonką, prowokacja i szpiegostwo wewnętrzne rzeczą codzienną, samowola rządzących doprowadzona do ekscesu, nędza moralna i materjalna kompletna. Istrati zapowiadał całą książkę podobnych rewelacyj, zaobserwowanych w ciągu dwuletniej bytności w Rosji lub zaczerpniętych z oficjalnych pism sowieckich. Książka ta (3 tomy) ukazała się z końcem ubiegłego roku w skróconym przekładzie. (Panaït Istrati: „Żagiew i Zgliszcza" tłom. K. Rychłowski — Połoniecki, Lwów str. 416 cena 12 zł). Fakt, że Panaït Istrati był w Rosji pełnych 16 miesięcy nie w charakterze „oficjalnego" gościa, ale poprostu jako swój, fakt, że jest bolszewikiem, gorącym wielbicielem rozbudowy socjalizmu według koncepcyj Lenina i Trockiego — pozwalają uwierzyć w szczerość i wiarogodność tych relacyj.

Bardzo szczegółowe dane statystyczne, sumiennie dobrane fakty z życia Rosji sowieckiej, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do autentyczności zwierzeń i oskarżeń Istratiego. Zaznaczamy jeszcze, że najstraszniejsze rzeczy: walkę z otwartymi przeciwnikami i religją pomija autor zupełnie. Wszystko, co bolszewizm uważa za najokropniejsze „hańby" „burżuazji i ustroju kapitalistycznego" — odżyło w Rosji sowieckiej jeszcze pełniej, jaskrawiej.

Pomińmy drobiazgi, jak lubowanie się rządów sowieckich w paradach, galówkach, obchodach, orderomanję. W żadnym kraju o ustroju „kapitalistycznym" nie urządza ich się tyle, z taką wspaniałością i pompą, i z takim nakładem kosztów jak w Rosji sowieckiej. Pojęcie swobody, wolności osobistej, wolności przekonań — stało się pustem złudzeniem, ucisk i terror w stosunku do „swoich" robotników i chłopów — szaleje w Rosji okrutniej i bezwzględniej, niż kiedykolwiek bywało w krajach burżuazyjnych. Więzi się bez winy, skazuje bez obrony, system prowokacji doprowadzono do mistrzowstwa. Nadużywanie władzy jest normą, „dławi się wszelkie próby niezależności umysłowej i rzeczowej krytyki, posługując się każdym, kto gotów jest iść po linji rządu". Zmieniły się nazwy znienawidzonych przez socjalizm instytucyj i urządzeń — same one jednak egzystują, urągając wszelkim zasadom już nie bolszewickim, ale wogóle ludzkim. Syndykaty zastąpiły wielkich fabrykantów. Biada temu, kogo wykluczy syndykat — skazany jest na niezawodną śmierć głodową. Zdeptane są elementarne zasady sprawiedliwości. Gdziekolwiek Istrati w Rosji był — a przejechał i przewędrował ją wszerz i wzdłuż — wszędzie obserwował ten sam system — tu stosowany łagodniej — tam z całą bezwzględnością. Do kogo? Do swoich — do robotników, do „równych".

Pierwszy tom, zawierający syntetyczne uwagi, ilustrowane zlekka przykładami — kończy Istrati temi słowami: „I powiedzieć, coby się stało z tym światem, gdyby ten komunizm, panoszący się dziś w Rosji, potrafił narzucić całemu światu swój system i swoje pojmowanie sprawiedliwości? Nie! Po stokroć nie! Świat nasz zanadto jest biedny, byśmy sobie pozwalać mogli na takie zwiększenie ogromu trapiących go nieszczęść i zła".

Tom drugi i trzeci zawierają szczegółowy, obficie udokumentowany, przegląd całego systemu komunistycznego. Na szczególną uwagę zasługują tu rozdziały o problemie „kułaków" i o walce rządu komunistycznego ze Stalinem na czele z opozycją (Trockistami). Pełne tragicznego napięcia są rozdziały, mówiące o doli „obywatela" Rosji komunistycznej.

Położenie klasy robotniczej (więc jednak klasy!) w Rosji sowieckiej jest tak opłakane i okropne, jak chyba nigdzie w świecie. Niewolnik jest lepiej traktowany. Bezrobocie szaleje wprost nieprawdopodobnie. Dochodzi do tego, że robotnik za funt mydła pracuje cały miesiąc. Uposażenie robotnika wynosi przeciętnie 50 rubli — wydatki zaś najskromniejsze dochodzą normalnie do 80—100 rubli. Młodociani robotnicy, wyzyskiwani bez skrupułów pobierają, za 8—10 godz. pracy dzien., mies. 14—18 rubli. Podobne uposażenia otrzymują niżsi funkcjonarjusze (poczta), podczas gdy uprzywilejowane kategorje urzędników pobierają pensje od 300 do 1000 rubli. Oto parę przykładów warunków mieszkaniowych (dowolnie tu i tam wychwytane): w roku 1925, nie mających mieszkań w fabryce w N. — 5000; w P. — 1000; w Z. — 2500; w fabryce tekstylnej w Moskwie 75000, w koszarach robotniczych w K. na każdem łóżku sypia kolejno 3. „Świeżo przybyli nocują na dworzu lub przy wysokich piecach." „W Moskwie robotnicy sezonowi gnieżdżą się w 10—15 po norach, w których zaledwie dla 2 byłoby miejsca". „W okolicy Moskwy w zeszłym roku pracowało 120000 rob. — obecnie około 180000. Pomieszczenie było dla 2000". („Prawda"). Jeden z młodocianych robotników pisze: „U nas nie podobna ani odpocząć ani umyć się, w baraku naszym niema zupełnie materacy; studnie w odległości 500 m.; sypia się na podłodze. Kiedy deszcz pada, można poprostu pływać".

Pomijam o wiele jaskrawsze i okropniejsze przykłady z dalszych okolic. Włosy na głowie się jeżą, kiedy się czyta owe ponure sprawozdania. Wskutek okropnych warunków życiowych alkoholizm szerzy się zastraszająco. Według urzę-

dowej statystyki wypadało 4,6 butelki na głowę przeciętnej rocznej (1927) konsumpcji. Z marnego uposażenia ściąga się na „dobrowolne" pożyczki, prenumeraty gazet, kluby, książki i t. p. Opieka sanitarna nie egzystuje zupełnie. Chorzy normalnie czekają 8—10 dni na lekarza, przeważnie lekarzy niema wogóle. Choroby zakaźne, szczególnie weneryczne, rozszerzają się nieustannie i gwałtownie. Zamyka się (gdzie egzystują wogóle) szkoły, gdyż 3/4 młodzieży zarażonych jest kiłą. Bezdomnych dzieci, wałęsających się, podaje statystyka z 1926 r. w liczbie 600.000. Z tej opuszczonej młodzieży rekrutują się bandy złodziei, rabusiów, morderców. „Kurorty" i sanatorja egzystują tylko dla dygnitarzy, „na 120 miljonów chłopów jakieś parę setek może się uważać za szczęśliwych".

Do grupy wydziedziczonych i krzywdzonych przez rząd należą przedewszystkiem kobiety i starcy, w artykule sprawozdawczym nie podobna dać pojęcia o tem piekle, w jakiem znajduje się większość kobiet i dzieci. Młode dziewczęta, niemal bez wyjątku, znajdą pracę jedynie jeśli przejdą przez sypialnię odnośnego naczelnika. Studentka, chcąca uzyskać stypendjum, zaświadczenie lub bilet — przechodzi podobną kalwarję. A los młodzieży uczącej się? A majątki państwowe? A gospodarstwa wzorowe? Literatura — nauka? Kpiny! „Nędza kulturalna narodu rosyjskiego idzie w parze z jego nędzą materjalną; na jakieś 150 milj. mieszkańców Z. S. S. R. znaczna większość nie umie czytać ani pisać". (Kompl. analf. 60%, 25—30% recydywiści-analf.) Około 70% dzieci nie korzysta ze szkół. Stan nauczycielski stanowi najgorzej płatną i najgorzej traktowaną kategorję ludzi. Zabobon i ciemnota święcą trjumfy.

Korrupcja, afery skandaliczne są normą i przywilejem większej ilości dygnitarzy bolszewickich: jedna partja (maleńka) jest przy władzy — a wszystkie inne w więzieniach. Biurokracja, o której nam się nawet nie marzy, przykład: w ciągu jednego tylko roku „Mostorg" dać musiał odpowiedź na 477085 zapytań. Syndykalistyczny robotnik odpowiadać ma miesięcznie na 80 pytań. Ale dość przykładów. Niepodobieństwem jest wyczerpać choć w przybliżeniu w krótkim artykule cały ciekawy materjał, jaki podaje Panaït Istrati w owej książce. Książka Istratiego była potrzebna, otworzy oczy niejednemu, a w wyjątkach zasługuje na jaknajszerszą popularyzację. — Przekład Rychłowskiego gładki i staranny.

ALFRED JESIONOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazał się w druku „Pamiętnik II. ogólnopolskiego zjazdu polonistów w Krakowie w dniach 6 i 7 czerwca 1930 r., w 400 rocznicę urodzin Jana Kochanowskiego", przygotowany pod redakcją Maksymiljana Tasbira, sekretarza zjazdu, Warszawa—Lwów, Książnica—Atlas TNSW. 1931.

Krakowski zjazd nauczycieli szkół średnich, polonistów, był już omawiany na łamach „Myśli Narodowej" w roku 1930. Bogdan Suchodolski wypowiedział w tej sprawie nieco uwag krytycznych, zarzucając w szczególności zjazdowi brak zdecydowanej myśli przewodniej (str. 394 i nast.) Pamiętamy też obronę Zjazdu, pióra p. Z. Szmydtowej (str. 422.) „Pamiętnik", który ukazał się świeżo pod redakcją p. Tasbira, czyni istotnie wrażenie pewnej mozaikowości w ujęciu zagadnień naukowych i dydaktycznych. Niewątpliwie jednak jest tem pamiętnik książką ciekawą i godną poznania dla każdego polonisty.

Otwiera go znany czytelnikom „Myśli" pyszny szkic p. Zofji Szmydtowej o Kochanowskim jako artyście [1]) oraz referat Stefanji Tatarówny o Kochanowskim jako człowieku i obywatelu. Dalsze referaty poświęcone są prawie wyłącznie sprawom dydaktycznym. Jest tu więc streszczenie (szkoda, że tylko streszczenie!) bardzo ciekawego referatu prof. Zygmunta Łempickiego. p. t. „Polska i polskość w nauczaniu języka polskiego". Zdaniem prof. Łempickiego „nauka o Polsce i polskości nie może być przedmiotem nauczania obok innych, ale musi być ośrodkiem kształcenia, jak nim była filologja klasyczna w szkole klasycznej starego typu. Oznacza to rozszerzanie zainteresowań poza zakres języka i literatury, poza ten ciasny i tradycyjny schemat."

Z pośród prac nauczycieli szkół średnich, którzy wypowiedzieli się o zagadnieniach dydaktycznych, zwraca uwagę zbiorowa praca sekcji polonistycznej TNSW we Lwowie (Skulski, Zaleski, Wilk, Sandel, Stećkow, Skalska, Dancewiczowa, J. Balicki), rozpatrująca różne strony obowiązującego programu nauczania w szkole średniej i w seminarjum oraz prace krakowskiej sekcji polonistów (Skoczylas, K. Sosnowski, Bielak, A. E. Balicki). Warszawa dała 4 referaty dydaktyczne (Kwaskowska, Saloni, Szyszkowski, Gołąbek), Poznań jeden (Biliński).

Na uwagę zasługuje bardzo gruntowny i wykazujący dużą erudycję referat Wład. Szyszkowskiego p. t. „Najpilniejsze postulaty nauki języka polskiego w szkołach średnich", oparty widocznie o duże doświadczenie.

„Pamiętnik" jest niewątpliwie dokumentem pięknego zbiorowego wysiłku nauczycieli polonistów i dowodem żywotności Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. (T. M.)

*

Poznańska „Tęcza" jest bezsprzecznie jednem z najlepiej redagowanych czasopism ilustrowanych w Polsce. Pociąga wytworną swą szatą, posiada staranny dobór artykułów, dobre ilustracje, nie jest przeładowana, przynosi zdrowy pokarm duchowy. Na szczególną uwagę zasługują numery regjonalne „Tęczy". Dotąd poświęciła Redakcja dwa numery Śląskowi (Cieszyńskiemu i Górnemu), jeden Wilnu—a ostatni z rzędu Pomorzu. W artykule wstępnym stwierdza J. D. (Drobnik) raz jeszcze, że dla nas, Polaków, niema „zagadnienia Pomorza w sensie międzynarodowym", istnieją sprawy wewnętrzne, odnoszące się do zapewnienia Pomorzu jaknajlepszego rozwoju — zresztą: czas pracuje na nas. (A. J.)

*

W nowym numerze „Zarania Śląskiego", starannie i ciekawie redag wanego kwartalnika śląskiego, na szczególną uwagę zasługuje doskonały szkic pani Dr. Dobrowolskiej: „Śląsk i ślązacy w powieści polskiej". Autorka przedstawia kolejno zainteresowanie się polskich powieściopisarzy Śląskiem i Ślązakami. Analizuje więc pokrótce szereg powieści Kraszewskiego („Królewscy Synowie", „Historja o Petrku Właście", „Waligóra", „Syn Jazdona", „Pogrobek"), następnie Kossak-Szczuckiej („Wielcy i mali", „Legnickie Pole"). Grusze ckiego („Zwyciężeni", „Krety", „Pruski Huzar"). Mączyńskiej („Ślązaczka"), Krząszcza, Morciaka, stosunek Żeromskiego do ląska, wspomina o Wierzbińskim, Zaniewickim i Pośpiechu. Autorka dochodzi do słusznej konkluzji, że niestety współczesność Śląska nie zainteresowała pisarzy dostatecznie, niema śląskiej „gromady społecznej", nie wyzyskano ciekawej „walki kapitału i pracy" na Śląsku i szeregu innych ważnych momentów, stanowiących pierwszorzędny materjał powieściowy. Z pozostałych artykułów godne uwagi są: Łakomego: „Zagadnień regjonalnych część II." (geografja, przyroda) i Staszewskiego: „Na Śląskiem Pograniczu 1806/07". (A. J.)

*

„Neofilolog" w drugim roku swej egzystencji zmienił się z kwartalnika na dwumiesięcznik, przywdziawszy nową szatę, bardziej estetyczną, niż poprzednio. Z radością powitać należy, że mimo trudnej sytuacji i niezmiernie ciężkich warunków, to jedyne pismo neofilologiczne się nie tylko utrzymało — ale udoskonaliło. Artykuł prof. Rudolfa Kerna (w jęz. niem) zajmuje się kwestją lektury w jęz. niem. na stopniu średnim i wyższym, przyczem autor jest zwolennikiem zaktualizowania lektury, szerszego uwzględnienia pisarzy nowoczesnych, współczesnych i ograniczenie lektury klasyków. Prof. Semil rozwodzi się nad podręcznikami do języka niem., używanemi we Francji, porównuje je z naszemi, porównanie zaś wychodzi na naszą korzyść. Słuszne postulaty zawiera artykuł prof. Jungmanna o „egzaminach piśm. maturalnych z języka obcego". Ciekawe materjały, recenzje, sprawozdania uzupełniają nowy numer „Neofilologa". (A. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wydawca Plon rozpoczął kilka miesięcy temu niezmiernie użyteczną publikację francuskich klasyków. Kolekcja ta bowiem nie jest zwyczajnem „nowem" wydaniem starych tekstów, ale ostatnio przejrzanych ponownie na podstawie oryginałów. Tak samo skorygowane zostały mylne wiadomości biograficzne, dotyczące danych autorów. Zbiór ten klasyków, zaopatrzony jest bowiem w obszerne notatki, odnoszące się do ich życia jakoteż w komentarze, w których są brane pod uwagę współczesne i najpoważniejsze studja z dziedziny historji literatury. Pozatem wydanie to pod względem zewnętrznym jest nietylko bez zarzutu, ale odpowiada

[1]) Por. „Myśl Narodowa", 1930, str. 390.

wszelkim wymogom estetycznym. W zbiorze tym wyszedł już dotąd „Teatr“ Racine'a, „Teatr“ Molière'a, oraz Bajki Lafontaine'a. W najbliższej zaś przyszłości mają ukazać się *„Les Confessions“* Jana Jakóba Rousseau. Potem zaś wyjdą *„Les Essais“* Montaigne'a, *„Les Poésies“* Clément Marot'a oraz *„Les Caractères“* La Bruyère'a. (I. B.)

*

Powieść p. Augusta Bailly p. t. *„Figuiret maudit“ (Fayard édit.)* jest dramatem, opartym na zmaganiach się wewnętrznych, na walce pomiędzy duszą a zmysłami. Walka ta toczy się właśnie w sercu Françoise Dornier. Kiedy bowiem umiera jej siostra, zbolały mąż Robert Landry prosi, by przy jego osierociałem ognisku zastąpiła zmarłą. Landry jest wiejskim lekarzem i ma małego synka, potrzebującego matczynej opieki. Françoise godzi się na propozycję szwagra: pociąga ona ją, ale równocześnie i budzi w niej obawy. Młoda kobieta bowiem oddawna kochała Roberta Landry, tłumiąc jednak dotąd swe uczucia. Wybuchną one jednak teraz w całej pełni, gdy Françoise zamieszka pod jego dachem, niezdolna pohamować swych zmysłów, które najpierw w sposób nieunikniony ich połączą, by potem dramatyczne piętno wybić na ich spaczonym stosunku. Ten konflikt wewnętrzny posiada dużo patetycznych momentów, a psychologja głównych osób bardzo trafnie ujęta. (I. B.)

*

Wszechwładny wpływ kinematografu, czyli tak zwanej „siódmej sztuki“ przedostaje się naturalnie i do literatury. Mamy już bowiem cały szereg powieści, pisanych pod kątem widzenia „ekranowym.“ Inne znowuż biorą sobie za tło życie i obyczaje artystów kinematograficznych. W tajniki jego wprowadza nas właśnie p. Hervé Lauwick w swojej książce p. t. *„Ma femme et les autres“* (Albin Michel édit.). Nie potrzeba chyba dodawać, że główna akcja rozgrywa się w Nowym-Yorku i Hollywood'zie, tem jedynem w swoim rodzaju królestwie filmu, a które często skutecznie przeradza się i w piekło. Do niego właśnie dostał się młody Francuz, Alain Berthomieux, wiedziony miłością do aktorki kinematograficznej, Helen Moore, a także chęcią zasilenia kieszeni dolarami. Jego śmiała impreza powiedzie mu się, ale tylko w części. Jeżeli bowiem dane mu będzie zbliżyć się do sławnej *„star“*, to jednak prędko przekona się, że kobieta amerykańska nie odpowiada zgoła ideałowi Francuza. Z drugiej strony warjacki tryb życia w „studjach“ i wogóle na Nowym kontynencie, jest bardzo daleki od tego, jaki Alain Berthomieux prowadził w Paryżu. Aklimatyzuje się jak może. Pragnie to również uczynić i jego znajoma. Odette Vermondy, młoda Paryżanka i laureatka jednego z tegoczesnych konkursów, a pragnąca również wyrobić sobie za oceanem nazwisko i sławę. Oboje ci Francuzi powrócą wszakże do kraju i pobiorą się, uważając, iż ten akt był najlepszym „filmem“ z ich, jeżeli nie artystycznej, to w każdym razie życiowej karjery. Autor tej powieści, zapoznając nas z brutalną i na „kolosalną“ miarę zakrojoną egzystencją amerykańską, odmalowuje przytem nieskończoną galerję dowcipnych, śmiesznych, ironicznych obrazów oraz typów, jakie dla Europejczyka mają coś w sobie z Apokalipsy filmu *„ultra-moderne“*. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W POLSKIEM Tow. Artystycznem otwarto wystawę jubileuszową prac Ignacego Łopieńskiego, artysty-grafika, jednego z najstarszych a zarazem najbardziej zasłużonych w szerzeniu zamiłowania do sztuki graficznej i jej popularyzacji. Zaznaczyć tu przedewszystkiem należy, iż umiłowanemu przez się rytownictwu czcigodny jubilat poświęcił swój talent, wiedzę i zapał w czasach, gdy głucho było o grafice w Polsce, a i zagranicą niewielu liczyła wyznawców. W roku 1883-im, po skończeniu szkoły rysunkowej Gersona i Kamińskiego, Łopieński jako 18-letni młodzieniec otrzymuje stypendjum Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie i udaje się do Paryża. Lecz atmosfera Paryża nie odpowiada cichemu i zamkniętemu w sobie Ł. Po dwu latach przenosi się do Monachjum. Zapisawszy się do Akademji na malarstwo, do prof. Wagnera, porzuca je wkrótce i przechodzi na wydział akwaforty pod kierownictwem prof. Raaba. Po gruntownych studjach monachijskich przystępuje artysta do pracy samodzielnej. Pierwsze jego ryciny, to znakomite kopje portretów olejnych Bilińskiej, Popiela i Matejki. Akwaforty te przynoszą artyście uznanie, rozgłos i szereg wysokich odznaczeń w kraju i zagranicą. Po siedmioletnim pobycie w Monachjum Łopieński przyjeżdża do Krakowa. Wykańcza tu „Warnę“ Matejki, oraz szereg zamówień. Dla Tow. Zachęty robi na premje coroczne kopje z Matejki. Ryciny popularyzują dzieła mistrza wśród społeczeństwa i zarazem szerzą w niem znajomość niesłusznie zapoznanej sztuki graficznej. Grafika, zanim się stała samoistnym środkiem wypowiadania się artysty, walną oddała przysługę innej dziedzinie sztuki: malarstwu.

W roku 1908-mym, po drugim, trzyletnim pobycie w Paryżu, artysta osiada na stałe w Warszawie. Zaczyna żywą działalność w krzewieniu sztuki graficznej. Zapał z jakim to czyni, jedna jej coraz liczniejszych zwolenników. Wkońcu doprowadza do tego, że czołowi malarze polscy: Wyczółkowski, Pankiewicz, Weyssenhoff, Kowalski poczynają próbować swych sił na polu grafiki, korzystając obficie z fachowych porad Łopieńskiego. W Akademji Krakowskiej Pankiewicz tworzy wydział graficzny, o coraz większym zastępie uczniów. Zapomniana do niedawna sztuka, rozkwita. „Praca Ignacego Łopieńskiego i jego wytężona czterdziestoletnia działalność (czytamy w krótkim życiorysie, wydanym z racji jubileuszowej wystawy) na marne nie poszły. Z dumą może powiedzieć, że kiedy przed 40-stu kilku laty był jedynym, który kładł podwaliny pod przyszły rozwój odrodzonej sztuki, przewidział jej zmartwychwstanie“.

Od siebie dodam tylko jedno: chciałbym, aby ci wszyscy młodzi, a tak liczni dziś graficy, którzy niejako na gotowy przychodzą już teren i zachętę do pracy znajdują częstokroć w pomyślnych wynikach osiągniętych przez innych, we wdzięcznej uwadze mieli tego, co im pracę ułatwił. Aby zebrać plon, siejemy ziarno. Ale często trzeba przedtem i pole wykarczować. Żmudny i niewdzięczny, lecz jakże owocny w odległych swych skutkach, trud karczowania wypełnił Łopieński. (W. P.)

*

Wystawa Ignacego Łopieńskiego, przedstawia nam znakomitego technika akwoforty i solidnego rysownika. Byłoby dobrze, aby z pracami Łopieńskiego zapoznała się bliżej młodzież szkół artystycznych, studjująca grafikę. Z racji wystawy i jubileuszu zasłużonego artysty nakładem Związku Polskich Art. Grafików ukazał się szkic biograficzny, pióra W. Zwierowicza, zawierający wiele cennych informacyj o życiu i pracy czcigodnego jubilata! Książeczka w zredagowaniu nie pozbawiona jest jednak paru b. poważnych usterek, co tembardziej nas dziwi, iż wydana została staraniem ludzi najwięcej do tego powołanych. Mianowicie: na końcu załączono wykaz ważniejszych prac Łopieńskiego. Co to znaczy ważniejszych? Dla historyka grafiki wszystko może być ważne. Wśród pozycyj zanotowanych niema np. b. wielu grafik, znajdujących się na wystawie. A więc wystawa jubileuszowa bez katalogu prac wystawionych! W wykazie prac nie podano ani jednej daty ich wykonania! Wprawdzie daty wraz z tytułami dzieł umieszczono na kartkach, przypiętych pod rycinami, ale te się przecież wyrzuci, a katalog zostanie. Nie, panowie ze Związku Grafików, stanowczo zamało pietyzmu dla pracy i zasług artysty, no i zamało...metody naukowej. (W. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Wojciechowski Konstsnty. Bolesław Prus. Wyd. III. Z przedmową J. Kallenbacha. Lwów 1931. Gubrynowicz i Syn. S. 176 i portret.

K. du Hemme i Hubert-Jacques. Niemcy gotowe do wojny. Poznań 1931. K. Rzepecki i sp. S. 240.

Lagerlöf Selma. Pierścień generała. Przekład L. Staffa. Poznań. Wyd. Pol R. Wagner.

Ejsmond Juljan. W słońcu. Wybór poezyj. Wydanie pośmiertne. Poznań 1931. Księg. Św. Wojciecha (Czarnolas).

Bandrowski Jerzy. Wieś czternastej mili. Nowele chińskie. Poznań 1931. Księg. św. Wojciecha.

Morcinek Gustaw. Byli dwaj bracia. Powieść Poznań 1931. Księg św. Wojciecha.

Szpotański Stan. Bez ziemi i bez nieba. Powieść. Poznań 1931. Księg. św. Wojciecha.

Pamiętnik Literacki, 1931, zesz. I (Roczn. XXVIII)

Rolicki Henryk. Szkoła jednolita i wychowanie państwowe. Przyczynek historyczny. Warsz. 1931. Odbitka z „Myśli Narodowej“. Str. 24.

Koneczny Feliks. Sprawa księcia Geldrji 1389 r. Wilno 1930. Odbitka z „Ateneum Wil.“

Koneczny Feliks. Etyki a cywilizacje. Odbitka z „Przeglądu Powszechn.“ (Kraków 1931).

Brandstaetter Roman. Droga pod górę. (Poezje). Kraków 1931. Gebcth. i Wolff.

OFENSYWA

RENAISSANCE ZA KRATĄ

TĘPILIŚMY tu na tem miejcu wielokrotnie niejakiego Franka Lucjana Erdtrachta. Za mało i za słabo. Okazało się teraz, że to najpospolitszy oszust i kryminalista. Aresztowano go w Wiedniu za niezliczoną ilość fałszerstw, szalbierstw i naciągań. Grozi mu pono kilka lat ciężkiego kryminału. Był wydawcą t. zw. „*Renaissance*'u" i istotnie wydał pono kilkadziesiąt tomów przedewszystkiem pornografji. Jakiś czas wydawał brudny szmatławiec p. t. „Kurjer Wiedeński". Miał dużą protekcję w Warszawie jako stuprocentowy sanator, który zapowiedział druk dwutomowej powieści Leo Belmonta p. t. „Józef Piłsudski" no i jeszcze za inne „zasługi".

Otóż ten obskurny szmajgeles wplątany też był w sprawę „zaginionego" generała Zagórskiego.

Było to przed grudniową sesją Ligi Narodów r. 1927. Chodziło o to, żeby delegacja polska nie miała zbyt utrudnionej sytuacji z powodu „zaginięcia" generała Zagórskiego, które za granicami Polski omawiano rzetelnie i zgodnie z prawdą.

I wtedy w „*Berliner Tageblatt*" wypowiedział się w tej sprawie... słynny jasnowidz „psychograf", w gruncie rzeczy żydowski szarlatan Rafał Scherman. Otóż ten Scherman „na podstawie" listu, wręczonego mu przez „polskiego dziennikarza" (F. L. Erdtrachta), listu generała Zagórskiego, rzekomo z Wilna z datą 3 IX. 1927 pisanego, orzekł jasnowidząco, że gen. Zagórski żyje. *Quod erat demonstrandum* przed... Genewą i to w takim Weltblacie!

Robił „w tym interesie" właśnie, ten dziś w kryminale osadzony oszust Erdtracht.

Ten to Erdtracht w krytycznym momencie spełnił taką „posługę" dla dobra państwa.

W piśmidle swojem, w „Kurjerze Wiedeńskim" we wrześniu 28. 1927 puścił bezczelne kłamstwo, że gen. Zagórskiego widział na Kärntnerstrasse... i że w następnym numerze „Kurjera Wiedeńskiego" drukować będzie „Pamiętnik Generała Z." I wtedy to rodzina „zaginionego" generała (p. Irena Z.) zwróciła się o bliższe szczegóły telegraficznie. Nadto rząd „dla zbadania sprawy" wysłał do Wiednia natychmiast kapitana żandarmerji Handta — dokumentując w ten sposób wobec opinji publicznej swoją „najlepszą wolę". Obskurny Erdtracht gdzieś zniknął. Kapitan Handt już go oczywiście nie odnalazł.

wczesny „Głos Prawdy" i „granda" jego redakcyjna była w stałym kontakcie z tym Erdtrachtem.

Obecnie poszedł za kratki. PAT o tem nie doniósł. Prasa warszawska także jeszcze liczy, że się Erdtracht „wygrzebie" i za inseraty „*Renaissance*'u" zapłaci. Leo Belmont zaś, filar tego „*Renaissance*'u", powieści o Józefie Piłsudskim nie napisał; wyręczył go w tem biedny Olechowski. Napisał za to „powieść" o Herclu. Lepszy geszeft. I choć ta powieść podobno wionie dziką nienawiścią do chrześcijan wogóle, nasze pisma katolickie („Dzień Polski") umieszczają o tem guanie literackiem cacane recenzje.

ŻARGON MĘŻÓW STANU

NIE CIERPIĄCĄ zwłoki sprawą jest sanacja języka, jakim posługują się w swoich enuncjacjach publicznych nasi politycy. Zapewne, że mieliśmy już czas przyzwyczaić się do gwar rozmaitych, do gwar włamywaczy, do gwar koszarni czy kordygardy, Pawiaka i Kercelaka, ale jest już też czas, ażeby się od tych gwar odzwyczaić i zacząć czyścić język, potoczny i oficjalny, od tego nawozu. Szczególnie nasi politycy i dygnitarze świeżego wypieku powinni już unikać zbyt twardych i plastycznych określeń, powinni starać się swych myśli przędze obwijać w kwiaty doborowych, choćby nawet wytwornych wyrażeń. Mowy wojewodów nie powinny w niczem przypominać djalogów woziwodów i kamieniarzy, a mowy ministrów powinny być wzorami prozy polskiej. Jak elita to elita, to obowiązuje.

Tymczasem atoli nasza elita mówi i przemawia właściwie specjalną gwarą. Na gwarę tę złożyło się dużo słów z I-ej Brygady (eufermistycznych), a cośniecoś z *Qui pro Quo*. Wzorami tej oficjalnej prozy sanatorskiej nie są mowy Gołuchowskiego, Badeniego, Wielopolskiego, nie są pisma Klaczki czy S asowicza, ale dzieła „Kaprala Szczapy", artykuły p. Hołówki i p. Miedzińskiego, i stare roczniki „Głosu Prawdy".

27 stycznia miał wielką polityczną mowę jeden z tych okupanów sytuacji. Mowa ta w przyszłości będzie cytowana jako dokument tych czasów i tych ludzi.

Oto przykłady tej specjalnej gwary z mowy „męża stanu" w r. 1931.

„Partje te w formie wykrętno-spryciarskiej"...

„Partje te szerzyły poza granicami propagandę tak szkodliwą, że każdy z najzaciętszych wrogów naszego państwa mógł się c z u ć w y r ę c z o n y m przez samych Polaków w z u p o ł n o ś c i i z n a d d a t k i e m".

„Nic bowiem innego nie robiono, jak s k a m l a n o u obcych czynników..."

„Lecz uczestnicy Kongresu, co zresztą wykazało w większości dochodzenie, byli biernymi słuchaczami, nie rozumieli dobrze, do czego prowadzą panowie posłowie, kierujący partjami, ci zaś znajdowali się pod ochroną nietykalności poseiskiej i m u s i e l i b y ć o d ł o ż e n i n a p ó ź n i e j".

„Czy panowie z opozycji wierzyli w skuteczność swej destrukcyjnej roboty, tego nie wiem, lecz jestem przekonany, że sprawcy podpalań w Małopolsce Wschodniej b a z o w a l i m i ę d z y i n n e m i s w o j e n a d z i e j e na ogólnej anarchji, którą wyście szerzyli".

I t. p. i t. d... Wykrętno-spryciarskiej... bazowali... skamlano... czuć się wyręczonym... musieli być odłożeni... I t. p. i t. d.

Otóż to nie jest polszczyzna godna męża stanu. Takim *argotem* nie przemawiają premjerzy ani Bułgarji ani Albanji. Trzeba koniecznie oduczyć się i tego krasnosłowia i tego rugatielstwa i tych „platform", „podchodów", „nastawień", „odcinków", „odpowiedź Treviranusowi" (otwiet Czemberlenu) i tych „mocarnych" a w gruncie rzeczy wulgarnych i plebejskich neologizmów i eufermizmów, jakiemi pstrzy się „Gazeta Polska" lub ten „Przełom" obrzydliwie zakłamany, tartuffoski organ „półdziewic dyktatorskich".

Niedawno znowu dał taki wywiad inny gwiazdor tej elity o pięknem imieniu Sławomir. Minister Oświecenia Publicznego powinien chyba każde słówko mierzyć i ważyć. Jeżeli kto tę elitę reprezentować winien godnie, no to chyba właśnie szef edukacji, kultury włodarz i sztuk pięknych opiekun. Tymczasem pan minister w wywiadzie swoim użył takich znów przestarzałych terminów jak: „ginący świat partyjnictwa", „etyka iście murzyńska", a nawet, że gdzieś tam „poprostu s z c z u j e się opinję publiczną".

Otóż używanie terminu: „s z c z u j e s i ę" nie uchodzi. Nie uchodzi w prozie ministra oświecenia publicznego! Można stale stać „na platformie ideologji M. P." i nie złazić z platformy ani na chwilę, ale wysławiać się lepiej pięknie i wytwornie, to wtedy i dla „platformy" więcej będzie może respektu w narodzie idjotów [1]).

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) *Idiotes* greckie oznaczało człowieka prywatnego, bezpartyjnika.

NA MARGINESIE

W Hiszpanji nastąpił przewrót, król Alfons abdykował. Każdy naród w Europie ma z tego powodu coś do zapisania na marginesie. Organ urzędowy Rzplitej, „Gazeta Polska", zdyszana od imienin i przygotowująca opinję do obchodu „piatiletki" majowej, wyznaje na marginesie madryckich telegramów, że niepodobna się zorjentować co do powodów przewrotu. Francuski zaś „*Temps*" pisze o wyborach do rad miejskich w przededniu abdykacji:

„Wybory hiszpańskie dostarczają nowego dowodu, że dyktatury muszą prowadzić do rewolucji. Silna władza stwarza tylko fikcję władzy, gdyż nie może stanowić systemu trwałości rządów".

A inny publicysta dodaje:

„Trudno powstrzymać się od uwagi, że ładnie wyglądałaby dzisiaj Hiszpanja, gdyby miała dwóch tak miłych sąsiadów, jak Niemcy i Sowiety".

*

„Kurjer Czerwony" pragnąc — w dostępnym dla siebie zakresie — propagować ideę życia rodzinnego, zamieścił w nr. 86 fotografję, przedstawiającą samicę dzika w otoczeniu warchlaków, zaopatrzywszy to następującym podpisem: „DOBRA MATKA. D z i c z y c a wyprowadziła swe dzieci na słońce i spaceruje po ogrodzie Zoologicznym".

Nie wiadomo, czy językoznawcy z „Kurjera Czerwonego" pisać będą konsekwentnie: „Psica ma parę szczeniaków..", „Byczyca daje mleko", „Kogucica zniosła jajko", „Ogierzyca (konica?) doskonale chodzi w zaprzęgu" i t. d. W każdym razie zadziwiające jest w redakcji „Kurjera Czerwonego" owo dyskretne pominięcie czy zapomnienie tak ostatecznie pospolitego wyrazu... „świnia".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.